DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII | Warszawa, 28 września 1952 r. | Nr 39 (357)

W NUMERZE m. in.:

Mikołaj ROSTWOROWSKI

Mówi Wrocław

Delegacja Izby Ludowej NRD przywożąca pismo do bońskiego Bundestagu nie mogła przebywać w republice Adenauera dłużej niż 48 godzin. Delegatom starczyło jednak czasu na zorganizowanie w Bonn konferencji prasowej, na której zachodnioniemieccy dziennikarze zasypywali wiceprzewodniczącego Izby Ludowej H. Materna serią najbardziej „drażliwych" (jak sądzili) pytań. Jedno z nich brzmiało: „Dlaczego w wypadku zjednoczenia Niemiec „układ ogólny" miałby zgodnie z pozycją rządu NRD — stracić swą moc, a układ między NRD a Polską w sprawie granicy na Odrze i Nysie miałby zachować swą moc?". Wiceprzewodniczący Matern, który przed kilkoma zaledwie godzinami wysiadł z samolotu kierowanego ręką polskiego pilota był człowiekiem dostatecznie na wykłym do obcowania z rzekomymi historycznymi paradoksami. Bez chwili namysłu odparł: „Układ ogólny służy wojnie, a nasz układ z Polską, o granicy na Odrze i Nysie służy sprawie pokoju".

Czekając pośród 3200 delegatów na rozpoczęcie obrad Kongresu Ziem Odzyskanych, zastanawiałem się dlaczego sformułowanie Materna opublikowane w porannej prasie tak mocno przykuło moją uwagę. Ostatecznie z identycznymi zdaniami spotykamy się w Polsce codzień. Są słuszne, ale znane jak choćiażby te wszystkie treści, które za chwilę danym będzie nam słyszeć z oficjalnej mównicy.

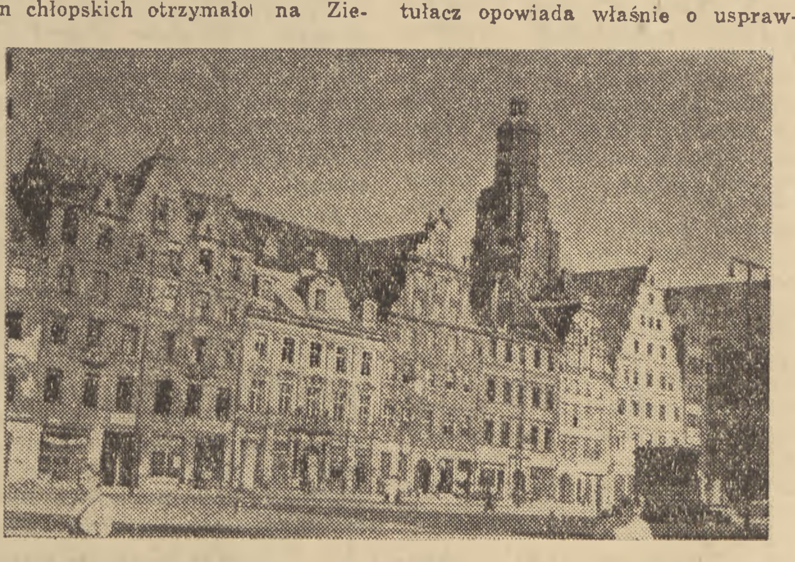
Przebieg Kongresu dowiódł, że nie miałem racji, lecz pomijając nawet mnogość spraw rewelacyjnie nowych, które naprzykład były poruszone w zasadniczym referacie min. Jędrychowskiego — już w następnej refleksji spostrzegłem niedorzeczność pierwotnego mniemania. Przecież niby to zgóry wiedząc kto, co i jak powie — drżę z napięcia, żeby się wreszcie zaczęło. Bo w polityce odwrotnie niż w retoryce — nie chodzi o gładkie, „odkrywcze" sformułowania, ale o ich zgodność z wciąż zmieniającą się sytuacją, z faktami narastającymi jak lawina i z ciągle nowym czasem. A kontekst sytuacyjny Kongresu Ziem Odzyskanych był niezwykły, o ileż bardziej niezwykły niż cytowana wymiana zdań między dwoma Niemcami, którzy mówili napozór jednym językiem a reprezentowali dwa światy.

Kiedy w ślad za oddziałami Armii Czerwonej pierwsze transporty ekip osiedleńczych przybyły przed siedmiu latami na dogasające ruiny Wrocławia — to miasto nie wiele miało wspólnego z dzisiejszą stolicą ziemi dolnośląskiej otwierającą ramiona na przyjęcie tysięcznych rzesz gości spieszących nad Odrę z najodleglejszych stron Rzeczypospolitej. Wrocław szumiący białoczerwonymi flagami i ustokrotnionym echem mowy znad Wisły, Bugu i Nysy, Wrocław najpiękniejszej w Polsce katedry i jednej z największych w Europie wytwórni wagonów — dosadnie potwierdzał istotę rewolucyjnej odmiany.

— „Nigdy więcej stopa najeźdźcy nie będzie deptać wolnej ziemi polskiej" — powiedział w trakcie obrad Marszałek Rokossowski. Przez ułamek sekundy była wielka cisza na sali a potem zerwała się nawałnica oklasków, która trwała jakgdyby nigdy mie miała się skończyć. Twarde, chłoszczące słowa. A jednocześnie się wie, że właściwie jedynie poto nasz kraj przez siedem lat oddychał, rósł i walczył, żeby takie słowa *mogły być* powiedziane.

Przypatrywałem się pilnie obecnym. 3200 ludzi dorosłych, więc pamiętających przedwrześniową operetkę mocarstwowości, — zgadzało się z tym wysokim, siwiejącym mężczyzną o wesołych, roziskrzonych oczach. Ci sami, sponiewierani niegdyś okrutną brednią o guziku od munduru — nieruchomieli w zasłuchaniu i pewności. Syn warszawskiego kamieniarza i pogromca najbitniejszych kohort nazistowskich nie obiecywał ale *stwierdzał*.

Podobnie rzeczowo i niemal monotonnie brzmi dwugodzinny referat min. Jędrychowskiego. Długie szeregi suchych danych statystycznych. Żeby choć jedno zdanie mniej merytoryczne. Łatwiej by można notować. Ale gdzie tam. Wicepremier jest nieubłagany. Więc odkładam notes i „na siłę" staram się wszystko to sobie wyobrazić. Pierwsza część referatu jest poświęcona wyliczeniu osiągnięć, druga mówi o tym co w najbliższym czasie zostanie zrobione. — Mija godzina, półtora... Starannie uszminkowana dziennikarka z Warszawy sięga po najświeższy numer „Świata". Czytałem go wczorej i wiem, że jest w nim artykuł Osmańczyka, który w tej chwili zasiada w prezydium Kongresu i poprostu pożera oczyma mówcę. „483 tysiące rodzin chłopskich otrzymało na Ziemiach Odzyskanych 4 miliony hektarów" — przypomina referent...



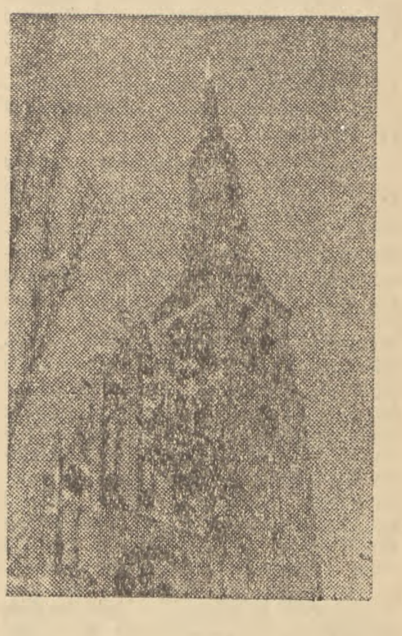
Wrocław
Domy renesansowe w Rynku *fot. C.A.F.*

Jest lato 39 roku. W jednym z wojskowych wydawnictw warszawskich młodociany przybysz z Opolszczyzny usiłuje nakłonić lalkowatych oficerów do wydrukowania i rozkolportowania wśród żołnierzy tych i tym podobnych strof: *„Dość chodziłim na Saksy, na orkę bez sławy. Tego ziemia kto orze! Kogo nędza dławi!"* I dalej: *„Garście silne do pługa! Przyszła na nas pora, Odebrać co nasze i Polsce przyorać! Na Zachodzie jest ziemia"*. Wtedy nie wydrukowano, rzecz jasna, Osmańczykowi jego nazbyt „wichrzycielskiego" wiersza. Dziś może on swobodnie dotrzeć do 300 tysięcy chłopskich zagród na Ziemiach Odzyskanych. W ciągu siedmiu lat taką właśnie liczbę Polska Ludowa zdołała tam zelektryfikować. 37% krajowej produkcji zboża towarowego i ponad 28% krajowej produkcji mięsa już obecnie zagrody owe przysparzają Polsce. A „Saksy" — to termin trącący bajką o żelaznym wilku dla 560 tysięcy pełnoprawnych robotników i pracowników umysłowych zapewniających Ziemiom Zachodnim dwudziestoczteroprocentowy udział w ogólnopolskiej produkcji przemysłu wielkiego i średniego.

Ale mówca nie poprzestaje na rejestracji tego, co nasze Ziemie Zachodnie już dzisiaj dają krajowi. Nie przyszliśmy tutaj jako ubogi krewny i oto przed oczyma przedstawicieli miliona ludności z dziada pradziada tu osiadłej min. Jędrychowski kreśli porywający plan dalszego rozwoju ich ojcowizny. Rozpoczniemy generalną przebudowę systemu dróg wodnych, na Opolszczyźnie powstanie olbrzymi zakład benzyny syntetycznej zbliżony rozmiarami do Nowej Huty, odbudujemy i rozbudujemy Gdańsk, Wrocław, Szczecin oraz wiele, wiele innych miast, miasteczek i osiedli, które mówca z pedantyczną precyzją wymienia, opatrując każdą nazwę datą i wiązką danych cyfrowych. Powstaną nowe szkoły, placówki kulturalne, szpitale. Franciszek Żarek już nigdy więcej nie wyjedzie do francuskich kopalń. Ani on ani jego syn. Dyrektor kopalni im. Thoreza w Wałbrzychu, ongiś górnik — tułacz opowiada właśnie o usprawnieniach produkcyjnych stosowanych przez swoich towarzyszy. Żarek podobnie jak przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Wilczków — Jan Sendek z najbardziej osobistego doświadczenia wywodzi zaufanie do planów, które jak powiedział przed chwilą premier Cyrankiewicz „demokracja polska wytycza zawsze poto aby je następnie niezawodnie zrealizować". — Sendek — przybysz z Polski centralnej aż zachłystuje się radością. Jego spółdzielnia przoduje całej ziemi dolnośląskiej, podnosząc w ciągu trzech lat wydajność o 60%. Z okazji kampanii wyborczej podjęli nowe zobowiązania. M.in. wprowadzą elektryczne dojenie krów. „Wrośliśmy w tę ziemię jak drzewo" — woła Sendek — i na nic zdadzą się imperialistyczne zakusy". W jego ustach termin „imperializm" odzyskuje swoją drapieżną, morderczą treść — jakżeż często zatracaną w powodzi publicystycznego wielosłowia. To właśnie imperializm skazywał 8 milionów Sendeków na bezsilną głodówkę i tułaczą poniewierkę i on to obecnie zagraża najkonkretniej ambitnym planom Wilczkowian.

Jan Mrocheń — wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu, długoletni więzień hitlerowskich lagrów mówi twardą soczystą mową polską. Tę mowę i tę ziemię ocalał skutecznie wraz z milionem braci w okresie republiki weimarskiej i Trzeciej Rzeszy. „Autochton" — pisała prasa, kiedy Mrochenia powołano do Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Wyborczego Frontu Narodowego. Niedobre słowo, niesprawiedliwe. Jego autorzy wbrew najlepszym intencjom uwydatniają zróżnicowanie przekreślane uporczywie przez 650 lat opolskiego oporu i 7 lat polskiej rewolucji. Mrocheń zna dokładnie cenę kongresowego zawołania: „Polska zjednoczona na zawsze". Kiedy polemizuje z Adenauerem i Lukaschkiem — argumentacji polskiego działacza ani o jotę nie osłabia szorstka, nieporadna akcentacja. Kiedy wzywa do umacniania obronności kraju, „naszej wielkiej, polskiej rodziny" — myśli nie tylko o Opolu ale o Warszawie i Białymstoku, o Krakowie i Olsztynie.

Po obiadowej przerwie Mrocheń obejmuje przewodnictwo w obradach po rektorze Kulczyńskim: „Żukrowski Wojciech, doskonały pisarz" — zapowiada kolejnego mówcę. Autor „Z kraju milczenia" tak jak i poprzedni dyskutanci nie zamierza celebrować odświętnej uroczystości. Przybył tu w roku 45 jeden z pierwszych w polskim mundurze i wie jak na wyzwoleńczej, rewolucyjnej fali próbowały klecić swoje szabrownicze czółna te same męty, które grabiły mienie pożydowskie i ludowych partyzantów wydawały Gestapo. Nim dalekosiężna dłoń polskiej praworządności położyła kres tym niewczesnym usiłowaniom — sporo szkód poniósł pieczołowicie gromadzony kredyt zaufania ludności miejscowej do odzyskiwanej Ojczyzny. Józef Wilkowski — chłop z powiatu strzeleckiego, były powstaniec i działacz oświatowo-kulturalny, Gertruda Knyffel — nauczycielka z Ostródy i tysiące im podobnych przedstawicieli ziemi do której wróciła Polska, a im przyniosła możność godnego człowieka życia — rozumieją mechanizm początkowych trudności. Ale Żukrowski wie, że może jeszcze są tacy, którzy wszystkiego do końca nie pojęli. Więc z myślą o nich plastycznymi barwami odtwarza starcie rojonego mitu z często brutalną, ale jakże wspaniałą rzeczywistością. Przypominając



Szczecin.
Jeden z odbudowanych kościołów.
fot. C.A.F.

rachityczne kontury Polski z pielgrzymich wspominek i białoczerwonych oleodruków, domyślnie niwelując pozostałości faszystowskiego czadu, mówi o Ojczyźnie prawdziwej, która wyzwoliła lud śląski — jednocześnie wyzwalając się sama. Ogrom przezwyciężonych trudności i suma siedmioletnich dokonań, które przecież nie wyrastały z niczego oto najdowodniejszy sprawdzian rzeczywistej potęgi narodu, który wrócił nad Odrę. „Tej Polsce trzeba ufać, tej Polsce trzeba się powierzyć — służmy jej i rośnijmy wraz z nią" — wołał Żukrowski oznajmiając zaraz potem, że Związek Literatów Polskich tu przez niego reprezentowany postanowił oddać swe siły dla specjalnej akcji kulturalnej podejmowanej na Opolszczyźnie i Mazurach.

Działacze katoliccy licznie obecni na Kongresie z radosną uwagą wysłuchali przemówienia zasiadającego w Prezydium ordynariusza wrocławskiego — ks. infułata Lagosza, którego każde słowo rejestrujące wkład katolicyzmu w umacnianie związków Ziem Zachodnich z Polską było jednocześnie surową odprawą dawaną cynicznej robocie spadkobierców krzyżackiej tradycji. Przedstawiciel Kościoła na tych ziemiach nie potrzebował wzorem polityków w sutannach z Niemiec zachodnich naginać religii dla doraźnych interesów politycznych. Wiara ludzi poddanych jego duszpasterskiej pieczy właśnie przez Polskę była strzeżona i dzięki powrotowi Polski mogła odzyskać należne jej miejsce w hierarchii wartości zgoła nie służebnych.

— Lista mówców dobiega końca. Były żołnierz I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki — osadnik Franciszek Kiernicki z uporem przedziera się przez manowce niedzielnie stylizowanego tekstu. Masywna postać bohatera spod Lenino i rekordzisty traktorowej orki na czarnowskich zagonach z wyraźnym wysiłkiem gnie się nad kruchą deską mównicy, a dłoń nawykła do przełamywania konkretnego oporu materii niecierpliwie wędruje po gładkiej nawierzchni rękopisu. — Żukrowski jest uradowany. W drodze powrotnej do Warszawy najbardziej chwali przemówienie Kiernickiego: „Oni wszyscy tacy. — Każde zadanie traktują jak

(Dokończenie na str. 8)

Edward SERWAŃSKI

SZKOŁA POLITYCZNEGO JĄTRZENIA

SCHLESISCHE RUNDSCHAU... ZE STUTTGARTU.

W SIEDEM lat po Poczdamie ukazuje się w Niemczech zachodnich specjalne czasopismo dla przesiedlonych Niemców z terenu Śląska*. Rok obecny jest czwartym istnienia tego pisma. Co dziesięć dni (pismo to jest dekadowe) ośrodki przesiedlonych zaopatruje się w świeżą porcję drukowanego papieru poświęconego w zupełności Śląskowi i jego sprawom.

Z szeregu pism rewizjonistycznych, jakie istnieją, działalność **Schlesische Rundschau** urasta do znaczenia symbolu nastrojów panujących w Niemczech zachodnich, symbolu zasad politycznych rewizjonizmu.

Schlesische Rundschau należy uznać po prostu za pewnego rodzaju szkołę polityczną. Wszystko w niej jest tak przemyślane, uporządkowane, tendencja tak skierowana, aby przesiedleni Niemcy na chwilę nawet nie mogli zwątpić o sprawie **Schlesien**. W działalności tego pisma należy odróżnić dwa kierunki: pierwszy z nich ogólny — będący wyrazem akcji kół politycznych i organizacji przesiedleńczych i drugi własny — redakcyjny, wynikający już z samego faktu istnienia pisma, z programem urabiania opinii wśród przesiedleńców według wszystkich możliwości jakie daje z natury swej organ prasowy. Oba kierunki zespalają się zresztą a smutna doniosłość **Schlesische Rundschau** polega na tym, że służy on tutaj jako platforma szczególnie szkodliwego oddziaływania.

WIELKA POLITYKA

NA początek idzie „wielka polityka" rewizjonistów, której **Schlesische Rundschau** służy bezwzględnie każdym numerem, każdą stroną, artykułem za artykułem, dosłownie słowo za słowem. Łatwo te założenia „wielkiej polityki" dojrzeć w gąszczu niezliczonych spraw — bo polityka ta jest jasna w swej bezceremonialności i prosta w swej agresywności — a w ujęciu redakcyjnym **Schlesische Rundschau** przemyślana i podawana swym czytelnikom według rzymskiej maksymy: **gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo.**

Schlesische Rundschau zaraz pod tytułem wyjaśnia dla kogo jest przeznaczona, mianowicie jest **to die Zeitung aller Schlesier**. Podtytuł ten wskazuje nam jeden z pierwszych elementów „wielkiej polityki".

Naniesione hasło na tytuł pisma: **Niemals Oder-Neisse-Linie** zdradza dalsze założenia tej polityki — walka przeciw granicy na Odrze i Nysie. Równocześnie znajdujemy tu program polityczny rewizjonistów: **Ewig Schlesien ungeteilt**. Chodzi jednakże nie tylko o cały Śląsk i to dla wszystkich Ślązaków Chodzi również o to, aby sprawę Śląska uczynić sprawą wszystkich Niemców. Zwłaszcza obecnie jest to główny kanon polityki rewizjonistów i działalności prasowej **Schlesische Rundschau**. Wyrazem tego stało się hasło jednego ze spotkań a mianowicie: **Schlesien, eine gesamtdeutsche Verpflichtung**. Rzecz zrozumiała, że organ ten, pomyślany jako szkoła polityczna dla przesiedleńców, hasło to popularyzuje tak samo, jak poprzednie. Nie ma zresztą akcji politycznej, której by pismo nie wykorzystało dla swojej pracy.

Przez wszystkie artykuły polityczne przebija treść wyraźna choć niepisana — liczenie na wojnę. Sprawom przygotowującej się na Zachodzie agresji poświęca **Schlesische Rundschau** wiele miejsca, zgłaszając także w imieniu rewizjonistów pretensje, że nie zaproszono ich do politycznych przygotowań, względnie do przyszłych planów. M. in. zwłaszcza z okazji obrad wschodnio-europejskich polityków emigracyjnych **Schlesische Rundschau**, myśląc o niemieckich rewizjonistach, wskazuje jedno wolne miejsce przy okrągłym stole. Dalsza sprawa to dyskredytowanie w oczach przesiedleńców polityki Związku Radzieckiego, ataki na polityczną współpracę ZSRR, Polski i krajów demokracji ludowej. Z drugiej zaś strony nie ukrywa **Schlesische Rundschau**, że rewizjoniści liczą bardzo na zachodnich aliantów. To oczywiście pewne tylko człony tej „wielkiej polityki". Aby ją przedstawić w całości, trzeba by jej poświęcić więcej miejsca w innym artykule. Przedstawimy tylko niektóre z nich w redakcyjnej oprawie **Schlesische Rundschau**, ze względu na ich specyficzny charakter i szczególny „wkład" tego pisma w akcję antypolskiego jątrzenia.

P o l s k a — rzecz zrozumiała — korzysta na łamach **Schlesische Rundschau** ze specjalnego — w jak najgorszym tego słowa znaczeniu — przywileju. Dosłownie jest to p r i v i l e g i u m o d i o s u m.

A więc spotykamy się przedewszystkim z generalnym atakiem na całość ziem Polski, atakiem na granicę, następnie zaś z generalną ofensywą mającą na celu dyskredytowanie w oczach przesiedleńców dorobku Polski na Ziemiach Odzyskanych. Właśnie **Schlesier Alter** rozpoczął w **Schlesische Rundschau** cykl artykułów pt. „Śląsk pod polskim zarządem" cykl, który ma być bilansem sześciu lat. Nie ma zresztą numeru **Schlesische Rundschau**, gdzie by nie było miejsca poświęconego sprawom naszych Ziem Zachodnich, oczywiście przedstawianym w jak najgorszym naświetleniu.

A w tych p o l o n i c a c h **Schlesische Rundschau** jest jedna szczególnie czarna karta — liczenie niemieckich rewizjonistów na polską emigrację polityczną. Z triumfem doniosło to pismo stosunkowo niedawno czytelnikom swym sensacyjną wiadomość, że **„das Gasprach mit Exilpolen hat begonnen"** (rozmowa z emigrantami polskimi rozpoczęła się). Kiedy w Niemieckiej Republice Demokratycznej ukazują się publikacje na temat odbudowy Ziem Zachodnich — co oczywiście z miejsca dyskredytuje **Schlesische Rundschau** — to znalazł się „Polonus" piszący w **Schlesische Rundschau**, że „nie należy się obawiać Związku Radzieckiego". Artykuł ten ma umacniać rewizjonistów w ich nadziejach rewindykacyjnych, snutych oczywiście w przewidywaniu wojny.

Sprawa g r a n i c y i p r z y s z ł e g o terytorium Niemiec stanowi szczególną troskę rewizjonistów, a wśród nich redakcji **Schlesische Rundschau**. Ale rewizjonizm ten dekonspiruje zarazem najgorsze tradycje niemieckiego imperializmu. Kiedy mówią o niepodzielności Śląska mają na myśli także **Kattowitz, Tarnowitz i Konigshütte**. Skądinąd dobrze wiemy, że nie chodzi tylko o Śląsk, ale więcej: o Wielkopolskę i Pomorze. Kiedy więc **Schlesische Rundschau** szumnie donosi, że Adenauer domaga się „jedności Niemiec tylko przez zjednoczenie z terenami za Odrą i Nysą", nie jest to prawdą, bo maksymalizm rewizjonistów idzie o wiele dalej. Znamiennym dowodem tego jest chociażby zainteresowanie ich sprawą Zagłębia Saary. Stawiając przed czytelnikami problem Saary **Schlesische Rundschau** wyjaśnia, że jest to podobnie niemiecki obszar jak Śląsk.

Szczególnie jednak charakterystycznym jest dla mentalności tych ludzi trawestacja pierwszych słów polskiego hymnu narodowego na użytek rewizjonistów niemieckich, trawestacja w formie wiersza poświęconego ziemi śląskiej: **Noch ist Schlesien nicht verloren.** Oczywiście, że do tej akcji rewizjoniści wezwali także Pana Boga.

IDEOLOGICZNA I PSYCHOLOGICZNA PODBUDOWA

CZAS działa „niekorzystnie" dla sprawy. Przesiedleńcy mają swoje bezpośrednie potrzeby życia, co grozić może ich asymilacją do obecnego środowiska. Toteż rewizjoniści w plan swej polityki włączyli dalszy element, mianowicie podbudowę ideologiczną. **Schlesische Rundschau** wielkim cyklem nie kończących się artykułów służy tej podbudowie. Pierwsze miejsce ma tutaj Fryderyk Wielki. Moltke, persona grata Prus, jest również tutaj potrzebny. Szczególnie zaś mile wspominany jest przez **Schlesische Rundschau** z okazji rocznicy walk o Śląsk sprzed 30 laty **Generalleutnant Berhard von Hülsen**, zwycięzca spod Góry św. Anny, wskazywany wszystkim przesiedleńcom jako przykład.

Psychiczne oddalenie przesiedlonych od opuszczonej ziemi może stać się także źródłem niebezpieczeństwa dla rewizjonistów. I to przemyśleli wyznaczając równocześnie **Schlesische Rundschau** dalszą pracę. Toteż pismo to w szczególnej mierze uwzględnia wszystko co tylko może służyć pamięci serca i tęsknocie. Słowo **Sehnsucht** powtarza się na łamach tego pisma niezliczoną ilość razy. **„Nasze święta Bożego Narodzenia wypełnione są tęsknotą za Ojczyzną"** — czytamy od pierwszej strony poprzez wszystkie szpalty w jednym z numerów. Mobilizacja nostalgii jest najbardziej przemyślana i organizacyjnie najlepiej rozwinięta akcją publicystyczną i dziennikarską **Schlesische Rundschau**. Poczesne miejsce w każdym numerze zajmują publikacje krajoznawcze Śląska, bogato ilustrowane wyjątkowo pięknym doborem fotografii. **„Gott grüsse Dich — Alt Vaterland"** — czytamy tytuł jednego z artykułów poświęconego Karkonoszom. Oto, w jakiej to mniej więcej atmosferze pisze się te artykuły: z rzewną łezką, bolesnym wspomnieniem, ale i równocześnie z westchnieniem nadziei.

NA USŁUGACH ORGANIZACJI

NA podstawie uprawianej przez **Schlesische Rundschau** „wielkiej polityki", ideologicznego i psychologicznego urabiania swych czytelników — zbudowano to pismo zasadniczą konstrukcję swej służby złej sprawie, a mianowicie platformę informacyjną organizacji przesiedleńców i ich życia. Służba ta jest wyjątkowej wagi, bo zamierza do utrzymania za wszelką cenę sztucznego i wielkiego skupiska społecznego przesiedlonych. Ta społeczna enklawa — rozsiana na szerokich terenach Niemiec zachodnich — nie byłaby tak spoista, gdyby nie miała wspólnej platformy porozumiewania się, dostarczania wzajemnych o sobie informacji i to publicznie, systematycznie i w duchu rewizjonistycznym.

Ponieważ aparat organizacyjny przesiedlonych jest szeroko rozbudowany, wielostopniowy i przejawia wieloraką działalność, **Schlesische Rundschau** ma wielkie pole do popisu. Każdy numer, w szeregu specjalnych działów, obsługuje czytelnika wiadomościami **aus der landsmannschaftlichen Arbeit**, podstawowej komórki organizacyjnej przesiedlonych.

Sprawozdania te obejmują prace na południu i zachodzie Niemiec. Prawie w każdym numerze podaje się listę **Heimatkreisvertrauensmänner der Landmannschaft Schlesien**, rozsianych po całych Niemczech zachodnich. Ta podstawowa komórka organizacji i ich przedstawicieli działa na zasadzie reprezentacji poszczególnych okręgów, obwodów, miejscowości dawniej zamieszkałych przez przesiedlonych. Potem czytamy bez końca w stałych działach o przeróżnych spotkaniach, zebraniach i wieczornicach, z których **Berliner Veranstaltungen** z roku 1952 przedstawiają się szczególnie bogato.

Schlesische Rundschau obsługuje również z zapałem propagandowe imprezy i sporadyczne wystąpienia jak **Schlesische Heimatwoche** — w tym roku trzecia już **Schlesier Bundestreffen**, wreszcie doroczny walny zjazd związków ojczyźnianych. To wszystko na użytek i potrzeby własnego rejonu. Niemniej wiernie pismo obsługuje swych czytelników informacjami o tych wszystkich przejawach życia przesiedlonych, które mają znaczenie ogólne. Więc o

(Dokończenie na str. 11)

*) **Schlesische Rundschau, Stuttgart, Redaktion und Verlag: Gross-Talmon Verlag.**

EMIGRANCI

DOMINIK HORODYŃSKI

OKRES kampanii wyborczej, okres powszechnej dyskusji nad Programem Wyborczym Frontu Narodowego jest wielką szkołą politycznego myślenia dla wszystkich Polaków. W dyskusjach naszych mówimy nie tylko o osiągnięciach, trudnościach i perspektywach naszego nowego budownictwa narodowego, mówimy również o okolicznościach, w jakich się ono odbywa, mówimy więc też o jego wrogach. A mówiąc o wrogach, niesposób nie zastanowić się nad drogą historyczną i dzisiejszą rolą kierowniczych kół politycznych emigracji polskiej, tego narzędzia imperializmu amerykańskiego, sojusznika rewizjonistycznych sił niemieckich, protektora i inspiratora elementów reakcyjnych i antypaństwowych w naszym kraju.

Dzieje emigracji rozpoczęły się przed trzynastu laty, gdy w połowie września rząd sanacyjny i jego agendy opuszczały płonącą, lecz walczącą Polskę. Władze emigracyjne czuły się i były organiczną kontynuacją tych samych rządów, które w jesieni 1939 sprowadziły na nasz naród największą klęskę w jego historii. Trzeba pamiętać o tym społeczno-politycznym rodowodzie „wodzów" emigracji, gdyż bez tego istot nie trudno pojąć, jak polscy bądź co bądź działacze polityczni popełnić mogli tyle bezrozumnych czynów, by wreszcie stoczyć się na samo dno zdrady narodowej.

Księga win przywódców emigracji! — Gdyby największe nawet napisać dzieło, dziś jeszcze trudno by było zmierzyć i ocenić cały ogrom szkód, jakie ich działalność przyniosła Polsce.

To w mózgach londyńczyków — w czasie gdy naród polski wiódł śmiertelny bój z hitleryzmem — wylęgła się samobójcza myśl o tzw. walce nad dwa fronty. To oni starali się mobilizować opinię w Polsce przeciwko ZSRR czyli przeciwko jedynej sile, która zdolna była Polskę z okupacji wyzwolić.

To oni ułożyli i zrealizowali straszliwy plan powstania warszawskiego. Ich ówczesny przywódca Mikołajczyk 4 sierpnia 1944 oświadczył uroczyście przez radio londyńskie, że bierze pełną osobistą odpowiedzialność za celowość i wynik walki narzuconej Warszawie. Jego zobowiązanie słyszało ginące miasto, lecz potem, po klęsce, premier londyński nie dał jednego słowa wyjaśnienia. Bo cóż mógł powiedzieć obłąkanym z bólu matkom, cóż mógł powiedzieć wielkiemu cmentarzowi stolicy? —

To emigranci w 1945 roku, gdy każdy człowiek zdolny do pracy był w Polsce na wagę złota, przemocą i kłamstwami zatrzymali w Niemczech, we Włoszech, we Francji, w Anglii i na całym dostępnym im świecie setki tysięcy chłopów i pracowników technicznych, by z nieszczęścia tych prostych ludzi uczynić sobie odskocznię do dalszej działalności politycznej.

To oni, w chwili gdy Polsce potrzebny był największy spokój i skupienie wszystkich sił wokół nowej władzy, organizowali WIN i konspiracje różnego typu, mordy zza węgła, wywiady i sabotaże. To spośród nich przyjechał do Polski wielki dywersant Mikołajczyk, po Mikołajczyku Tatar; każdy człowiek i każdy pomysł wydawał się im dobry, byle zakłócał spokój Polski, byle hamował nowe budownictwo.

Nie londyńczycy płacili za skutki swej działalności, oni z niej żyli. Zbyt drogo jednak płacił naród polski. Setki tysięcy niepotrzebnie poległej młodzieży, zburzona Warszawa, setki tysięcy nieszczęsnych ludzi tułających się po różnych Kanadach, Argentynach czy Australiach, lub do tej pory gnieżdżących się po obozach w Niemczech zachodnich i bezsilnie patrzących na to, jak dzieci ich rosną na hitlerowskich janczarów.

Jakby tych strasznych win było mało, przywódcy emigracji przy pomocy całego aparatu radiostacji zachodnich chwytają się wszelkich środków, nie cofają się przed wygrywaniem najświętszych uczuć ludzkich, takich jak uczucia patriotyczne czy religijne, by podstępnie mącić ludziom w głowach, by zachować jeszcze na jakieś szczególniejsze zacofane środowiska w Polsce jakiś wpływ. Po co im ten wpływ jest potrzebny? — Potrzebują go, by nasyłani przez nich i ich mocodawców szpiedzy mogli się o kogoś w Polsce zaczepić, a przede wszystkim potrzebują go na wypadek wojny. Bo oni chcą wojny. Ośmielają się o wojnę modlić. Modlą się o największe nieszczęście, jakie może ludzkość spotkać, o największą zbrodnię, jakiej się mogą ludzie dopuścić. Oto dno zdrady moralnej przywódców emigracji polskiej.

Jak ludzie ci mogli tak nisko się stoczyć?

Emigracja polityczna jako formacja społeczna jest szczególnie zdegenerowaną formą burżuazji. Cała burżuazja współczesna, czy to francuska, czy włoska, czy niemiecka czy jakakolwiek inna zdradza interes swych narodów. Pisaliśmy o tym już niejednokrotnie. Różne Andersy, Mikołajczyki, Bory, Zalescy, Bieleccy — któż tam spamiętać może te wszystkie nazwiska ze złej przeszłości — to polityczni przywódcy szczególnie zacofanej w swych koncepcjach i całkowicie pozbawionej samodzielności burżuazji polskiej. Niezależnie od dzielących ich osobistych animozji reprezentują ten sam interes klasowy i na wyścigi starają się uprzedzać życzenia swych bogatych mocodawców z Ameryki i Anglii.

Czasem jeden drobny przykład lepiej oświetla całość zagadnienia niż długie rozważania. Emigranci starali się stworzyć swoją ideologię i sztukę. Chcieli małpować tamtą emigrację: Mickiewicza, Słowackiego, Chopina. Okazało się, że z tą ideologią i sztuką sprawa nie prosta, że istnieją jakieś obiektywne przyczyny, dla których przez trzynaście lat nie powstało ani jedno prawdziwe dzieło literackie, ani jeden utwór muzyczny, ani jeden dobry obraz. Mimo tych oczywistych faktów emigranci chcą uchodzić za przedstawicieli tzw. wolnej twórczości polskiej. Jak z tej „wolności" korzystają? — Leży przede mną 21 tegoroczny numer jedynego pisma literackiego wydawanego w Londynie „Wiadomości". Pismo liczy cztery kolumny, więc to co w nim się ukazuje jest już szczytem twórczości emigracyjnej. W numerze tym na pierwszej kolumnie znajdujemy wiersz p. Lwa Sapiehy pt. „List". Jest to sentymentalny list do sadu, który — jak należy sądzić — poddani p. Sapiehy sadzili niegdyś wokół jego pałacu czy dworu. Opuszczam przydługie wynurzenia uczuciowe autora i cytuję meritum:

„A dalej — sad się skarży. Że mu jednak smutno
Odkąd ludzie doń chodzą jedynie z robotą;
Odkąd nawet kobiety, kiedy bielą płótno,
Rozkładają je milcząc, ukradkiem u płotu.
Że nikt już doń nie zajdzie, by poleżeć w cieniu
I cieszyć się z drzewami kształtami obłoków,
I że nikt już nie siada na białym kamieniu,
By posłuchać derkacza jak woła po zmroku".

Komentarz chyba zbyteczny. Redaktorzy „Wiadomości" tak jak i przywódcy emigracyjni uważają za rzecz oczywistą, że ludzie dzielą się na tych „jedynie od roboty" oraz na panów sapiechów, których radują kształty obłoków i wołanie derkacza. Każda inna propozycja wydaje się im sprzeczna z naturalnym porządkiem rzeczy.

Jaką perspektywę widzą przywódcy emigracji przed sobą? Bardzo prostą. Przyczynić się ile sił do wywołania wojny, którą Ameryka wygra. Wtedy gen. Ridgway czy Eisenhower uczyni ich wielkorządcami Polski. Będzie to Polska co prawda uzależniona od Niemców, ale cofnie się w niej wszystkie reformy społeczne i zawsze znajdzie się odpowiednia ilość miejsc na dochodowe posady i interesy. Z Niemcami, Niemcami Adenauera dogadać się trzeba już dzisiaj, aby potem nie było kłótni przy podziale łupów.

Wodzowie emigracji są agentami Ameryki. Jej interesom służą. Otóż w obozie amerykańskim ich pozycja jest zupełnie rozpaczliwa. By sprostać wymaganiom swych panów, muszą wyzbyć się resztek godności już nie narodowej, o której zapomnieli, lecz po prostu ludzkiej. Amerykanie stawiają na odbudowę wielkich, imperialistycznych Niemiec, które w ich imieniu mają rządzić Europą. Zainwestowali w Niemcy olbrzymie kapitały, powzięli szereg zobowiązań. W Niemczech znajduje się liczna emigracja nacjonalistów ukraińskich, w Ameryce odżyła stara emigracja rosyjska, która również ma swoje żądania i uczestniczy przy podziale skóry na niedźwiedziu. Między decydującym interesem niemieckich imperialistów a pretensjami emigrantów rosyjskich i ukraińskich emigracja polska jest kulą u nogi amerykańskich organizatorów trzeciej wojny światowej. Amerykanie chętnie używają emigrantów polskich jako szpiegów, ale o polityce z nimi nie rozmawiają. Odsyłają ich wprost do Bonn. Ta beznadziejna sytuacja emigracji polskiej jaskrawo uwydatnia się w czasie obecnej kampanii wyborczej w Stanach. Jest tradycją amerykańską, że każdy kandydat na prezydenta składa jakieś oświadczenia w sprawie polskiej, by pozyskać głosy Polonii amerykańskiej w Stanach. W obecnych wyborach ani Stevenson, ani Eisenhower żadnego oświadczenia pod adresem Polonii nie złożył, bo złożyć nie może z uwagi na politykę imperializmu amerykańskiego wobec Niemiec.

Co proponują emigranci narodowi polskiemu:

Najpierw wojnę, czyli śmierć milionów ludzi i zniszczenie całego dorobku ośmiu lat ciężkiej pracy. Później przemarsz esesowców i przepędzanie przez nich Polaków z większej części Polski. U boku esesowców kroczyć mają bulbowcy, banderowcy i cała banda międzynarodowych faszystów. Jeśli po ich przemarszu choć jeden Polak ocaleje (poza emigrantami), wtedy zorganizuje się coś w rodzaju generalnej guberni pod protektoratem wielkich Niemiec. Do Warszawy napłynie obcy kapitał, rządzić będą ci sami ludzie, którzy uciekali we wrześniu. Lud pracujący będzie pracował, panowie będą słuchać wołania derkaczy.

Oto chore majaki emigracyjne, oto szczyt zdrady narodowej.

Słyszałem przed paroma dniami na obwodowym zebraniu Frontu Narodowego wystąpienie starej kobiety, sprzątaczki. Mówiła o tym, że miała czworo dzieci. Dwoje starszych zginęło w czasie wojny, dwoje pozostałych teraz kończy uniwersytet. Najpierw powiedziała, że nigdy przed wojną jej dzieci nie mogłyby się dostać na wyższą uczelnię, a potem dodała: „ale ja nie tylko za to jestem wdzięczna Polsce Ludowej. Przede wszystkim dziękuję, że dzieciom naszym daje życie, a tamta władza dawała śmierć, tak jak teraz daje śmierć tam, gdzie jeszcze rządzi. Niech nikt nie zachwala swoich cudów, jeżeli mówi o wojnie i chce wojny“.

Tej kobiety, tak jak milionów innych kobiet i mężczyzn w Polsce, nie zwiodą syrenie głosy emigrantów polskich zawodzące z radiostacji zachodnich, głosy niosące śmierć.

Drogi narodu i emigracji rozeszły się raz na zawsze.

Nasza, choć trudna, wiedzie w życie. W życie coraz mądrzejsze, coraz bogatsze i godniejsze dla wszystkich.

Ich droga chciałaby wieść w śmierć a wiedzie do nikąd.

Dominik Horodyński

Wojciech KĘTRZYŃSKI

Refleksje o chrześcijańskiej demokracji

CENNA i bogato udokumentowana analiza chrześcijańskiej demokracji, dokonana na tych łamach przez Rudolfa Buchałę pobudza do próby dalszych precyzji w naszej ocenie tego zjawiska ideowo-politycznego. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zjawisko „chadecji“ jest typowym dla współczesnego układu sił politycznych w Europie zachodniej. Spotykamy się z nim we Włoszech, we Francji, w Belgii, w Holandii, w Niemczech zachodnich, w Austrii. Nie ulega też wątpliwości, że firma ta cieszy się w niektórych środowiskach katolickich dużym autorytetem, i jej koncepcje uważane są za reprezentatywny wyraz założeń społecznych Kościoła Katolickiego. Opinia ta panuje zresztą nie tylko w środowiskach katolickich. Działalność poszczególnych stronnictw chrześcijańsko-demokratycznych obserwowana jest bacznie przez wszystkich, których interesuje społeczna postawa katlików. Nie ulega wątpliwości, że dziś bardzo wielu nie katolików ocenia Kościół Katolicki poprzez aktywność chrześcijańskich demokracji.

Rzecz paradoksalna, na tle analizy dokonanej przez Buchałę — chrześcijańska demokracja powołuje się często na swe postępowe tradycje. Istotnie w swej przeszłości, zwłaszcza we Francji, chrześcijańska demokracja reprezentowała w katolickiej opinii publicznej odłam bardziej radykalny, demokratyczny, republikański, w wojnie z [illegible]watystami, monarchistami, głoszącymi tzw. program katolicko-społeczny. Lammenais, Ozanam, Marc Sangnier, księża-demokraci, don Sturzo, — oto czołowi przywódcy i ideologowie chrześcijańskiej demokracji. Jeszcze po wojnie chrześcijańska demokracja była dla katolickich integrystów czerwoną płachtą na byka, kierunkiem zdrożnym, wywrotnym, wnoszącym do myśli katolickiej „zdrożne miazmaty współczesnego świata“.

Jest jeszcze w Polsce nie mało katolików, którzy wierzą w postępowe tradycje chrześcijańskiej demokracji. Artykuły Buchały przyczynią się bez wątpienia do zdruzgotania tej legendy. Ukazały one w sposób niezbity, w oparciu o autorytety zachodnio-europejskie, jawnie reakcyjne oblicze tego ruchu w chwili obecnej.

WYCIĄGAJĄC pełną konsekwencję z tez, wyłożonych w artykułach Buchały można postawić krótkobrzmiącą diagnozę: chrześcijańska demokracja jest dziś ideologiczną fikcją. Pod pokrywką firmy, cieszącej się niegdyś opinią do pewnego stopnia postępową, skoncentrowało się dziś zbiorowisko najróżnorodniejszych ugrupowań politycznych, reprezentujących różne, a nawet czasem sprzeczne w praktyce programy. Gdy we Włoszech chrześcijańska demokracja współdziałała przy obalaniu monarchii — w Belgii P.S.C., jej odpowiednik, kruszyła kopie w imię obrony autorytetu króla Leopolda, oskarżonego o kollaborację z Niemcami. Gdy w Belgii, w Niemczech chadecja zwalcza namiętnie kierunki socjaldemokratyczne, we Francji, we Włoszech, w Holandii wchodziła ona z nimi w najróżnorodniejsze sojusze polityczne. W każdym kraju chrześcijańska demokracja stanowi zlepek innych sił politycznych, wynikających z innej koniunktury w dniach powojennych porządków.

Jest również faktem, że oblicze chadecji jest diametralnie różne, jeśli patrzeć na nie pod kątem głoszonych haseł lub pod kątem klienteli wyborczej. W różnych bowiem okresach poszczególne programy odwoływały się do różnych, nawet dość postępowych haseł (np. we Francji MRP głosował w swoim czasie za nacjonalizacją kluczowych gałęzi przemysłu). Klientela wyborcza chadecji jest natomiast jednoznaczna. W pierwszych latach powojennych stronnictwa chadeckie niezmier nie wzrosły w siły. W braku skompromitowanych kollaboracją ugrupowań skrajnie prawicowych, zebrały one wówczas głosy całej reakcji zachodnio-europejskiej. Z czasem klientela ta zaczęła powracać do swych macierzystych formacji faszystowskich, monarchistycznych, jawnie konserwatywnych. Wpływy chadecji zaczęły maleć. Jednocześnie nieuchronnie zaczęła się ona staczać w prawo, szukając sojuszu dla utrzymania się u władzy z tymi ugrupowaniami, które wykradły jej własnych dotychczasowych popleczników. Jest więc powszechnie stwierdzonym zjawiskiem, że „baza“ wyznaniowa nie stanowi istotnego trzonu tych stronnictw. Jeśli tradycyjnie odwołują się one do pomocy środowisk typowo klerykalnych, to nie mniej skwapliwie szukają oparcia u wielkich i średnich kapitalistów, u obszarników. Nie przeszkadza to zresztą w próbach tworzenia własnych central związków zawodowych, zasilanych zresztą przeważnie tylko przez warstwy urzędnicze.

Ta sama różnorodność jeśli chodzi o problematykę ideologiczną. Wszystkie stronnictwa chadeckie uznają wytyczne społeczne encyklik społecznych, Rerum Novarum, Quadragesimo Anno, nowszych orędzi Piusa XII, jako podstawę swych programów. Stwierdzają to głośno. W praktyce trudno znaleźć praktyczne dowody tego pokrewieństwa. Korporacjonizm, ani żadne pokrewne formy ustrojowe nie zostały wprowadzone w życie w żadnym z krajów rządzonych przez chadecję. Polityka na odcinku upowszechnienia własności, gwarancji materialnych dla rodziny, pośrednictwa między kapitałem a pracą — nie odznacza się tam niczym oryginalnym, odrębnym. Nie potrzeba gruntowniejszej znajomości zagadnień ekonomicznych, by stwierdzić, że we wszystkich tych krajach ustrój gospodarczy jest w najpełniejszym tego słowa znaczeniu ustrojem kapitalistycznym. Nawet nie ma tam mowy o żadnych istotnych korekturach kapitalizmu i czołowi ideolodzy chrześcijańskiej demokracji nie czują się nawet w obowiązku choć werbalnie odciąć się od kapitalistycznego porządku. Rzecz znamienna, taka metoda interpretacji wytycznych encyklik nie spotykała się dotąd nigdzie na zachodzie z autorytatywną krytyką. Bez wątpienia podnoszą się tam od czasu do czasu głosy szlachetnych kapłanów i biskupów, potępiających kapitalizm i popełniane przez niego zbrodnie. Głośnym echem odbiła się ostatnio enuncjacja biskupa-koadjutora archidiecezji wiedeńskiej msgr. Jachyma, protestującego przeciw próbom czynienia z Kościoła obrońcy skompromitowanego porządku społecznego. W większości jednak wypadków pouczenia dostojników Kościoła ograniczają się do przypominania zasadniczych założeń społecznych Kościoła, unikając jakichkolwiek akcentów krytycznych pod adresem praktyki kierunków chadeckich.

IDEOLOGICZNIE więc „chrześcijańska demokracja“ nie istnieje. Jest bluffem, jest nadużyciem historycznego słowa, które straciło swą treść jeszcze przed pierwszą wojną światową. Jest już czas najwyższy, by to ideologiczne oszustwo w sposób ostateczny zdemaskować. Nie można zaprzeczać, że w szeregach chadecji w Europie zachodniej znaleźli się też ludzie, którzy wyobrażają sobie, że znajdą tam program działalności społecznej, odpowiadającej wytycznym Kościoła. Jest jednak faktem, że jest to w istocie ruch pozbawiony wszelkich głębszych założeń ideowych, ruch czysto polityczny, pod niektórymi względami wręcz oportunistycznie nastawiony, korzystający dla celów propagandowo-wyborczych z haseł i zwrotów o brzmieniu chrześcijańsko-społecznym.

Specyfika programu chadeckiego sprowadza się w istocie do szermowania tą frazeologią, do mobilizowania w swych szeregach elementów t.zw. umiarkowanych dla polityki poprostu reakcyjnej. Bazą istnienia chrześcijańskich demokracji, lepikiem, łączącym w jedną całość różnorodne grupki w jej skład wchodzące — jest program czysto negatywny — anty-komunizm. Pod tym hasłem rzecz oczywista rozumie się tam nie tylko problematykę światopoglądową marksizmu i nie tylko socjalistyczne reformy społeczno-gospodarcze. Anty-komunizm jest walką z każdą próbą podważenia istniejącego na zachodzie porządku społecznego. Kładąc nacisk na „ewolucyjne a nie rewolucyjne tempo przemian“, chrześcijańska demokracja faktycznie wszędzie poparła istniejący ustrój kapitalistyczny.

Ten stan rzeczy próbowano tłumaczyć faktem, że chadecja, jako partia parlamentarna, zmuszona była wchodzić w sojusz i dopuszczać do władzy stronnictwa o programach ściśle zachowawczo-kapitalistycznych. Jest to odwrócenie rzeczywistej kolejności zjawisk. W pierwszym okresie po wojnie chadecja wystąpiła niemalże wszędzie w koalicji z komunistami i socjaldemokratami. Powstawała w ten sposób większość lewicowo-centrowa, pozwalająca politykom chadeckim na wybór miejsca bądź to w centrum, bądź to na prawym skrzydle tego bloku. We wszystkich wypadkach chadecja ciążyła wyraźnie w prawo i powodowała zerwanie tej koalicji, otwierając tym drogę do władzy dla coraz to bardziej prawicowych ugrupowań. W ten sposób Adenauer wprowadził ultra-reakcyjnego Heussa na stanowisko prezydenta zachodnio-niemieckiego Państwa Związkowego, a de Gasperi — przedstawiciela finansjery włoskiej Einaudiego. W identyczny sposób MRP oddało prezydenturę Francji prawicowemu socjaliście Auriolowi i popierało kolejno coraz to bardziej reakcyjne koalicje rządowe, dochodząc dziś do współpracy z byłym poplecznikiem Pétaina — Pinayem.

WRAZ z socjaldemokracją chadecja startowała ze stanowiska „trzeciej siły“, jakby z pozycji neutralności między obozem socjalizmu i imperializmem amerykańskim. Dziś w istocie wszystkie stronnictwa chadeckie stały się jawnym narzędziem polityki atlantyckiej, dobrowolnie poddały swe kraje pod ekonomiczną najpierw, a następnie i militarną okupację amerykańską. To właśnie w Schumanie, Adenauerze, de Gasperim, van Zeelandzie znaleźli Amerykanie najpewniejszych sojuszników w „atlantyzowaniu“ Europy zachodniej. Jedynie Holandia odbiega od schematu, gdyż między innymi na tle różnic w ocenie sytuacji międzynarodowej nastąpił tam rozłam i podział chadecji na dwa różne ugrupowania.

Jeśli uświadomimy sobie jeszcze, że chadecja francuska ponosi odpowiedzialność za rozpętanie i prowadzenie brudnej wojny w Viet-Namie (admirał d'Argenlieu, który zerwał układ z Ho Szi Minhem był niestety mężem zaufania rządzących środowisk katolickich francuskich, a kolejni ministrowie spraw zagranicznych i kolonii rekrutowali się przeważnie z MRP), że chadecja niemiecka rozpętała w Niemczech szowinistyczną i militarystyczną propagandę — mamy pełny obraz ponurej hipoteki jaką obciążyła chadecja katolicką moralność społeczną i polityczną, nadużywając chrześcijańskich haseł.

Rzecz oczywista, że chadecja, jeśli by jej nawet przyznano prawo do przymiotnika „chrześcijańska“, reprezentuje tylko pewien odłam katolickiej opinii publicznej. Trzeba przypomnieć, że żaden kierunek polityczny nie jest i nie może być uważany za obowiązującą wykładnię społecznych wskazań Kościoła Katolickiego. Nie zmieni to jednak istniejącego stanu rzeczy, że kierunki chadeckie wywarły, od strony katolików, decydujący wpływ na tok życia politycznego Europy zachodniej, wpływ w pełnym tego słowa znaczeniu reakcyjny. Opinia o naturalnej reakcyjności katolicyzmu, rozpowszechniona w wielu niekatolickich środowiskach ideowo-politycznych, znajduje oparcie w działalności wszystkich kierunków chadeckich na zachodzie. Nie potrzeba się tu chyba rozwodzić o tym, jak dalece opinia ta przeszkadza w realizowaniu prawdziwej, ewangelicznej misji Kościoła Katolickiego. Doświadczenie to winno być przestrogą dla wszystkich „idealistów“, wyznawców „trzecich dróg“ i „trzecich sił“.

(Dokończenie na str. 4)

Wacław OLSZEWSKI

Jesienne metafory

Chciałbym rymami spiąć purpurę
nieba i jezior — kiedy dzwon
wieczornych bije sygnaturek
i noc się zbliża w skrzydłach wron,
chciałbym jesiennych ognisk dymem
płynąć łąkami z bratnią mgłą
— spokój i ciszę złączyć rymem
z komarów śpiewem, z żabią grą,
i szelest liści rdzawo — złotych
w spokojny strof tych włączyć rytm
— lecz jeszcze nie czas pisać o tym
— jeszcze jest jesień pełna widm:
czerwone niebo koreańskie,
purpurą ujście Nilu lśni —
i piramidy — w krwawych blaskach,
i zachodzące słońce — w krwi.
i dymią echa krematoriów,
szukają żeru stada wron —
z zachodnią armią do historii
wejść chcą mordercy z Bonn.
Szeleszczą czujnie złote liście,
bo znów chce wróg kaleczyć je,
żelastwem dawnej nienawiści
bić o konary i o pnie.

*

Szelest tych liści rdzawo — złotych
w strofek mych czujny włączam rytm
— t a k jeszcze trzeba pisać o tym,
gdy grożą echa dawnych widm.

Władysław SEŃKO

52 lata pracy nad antykiem

WŚRÓD tegorocznych laureatów państwowej nagrody naukowej widnieje na pierwszym miejscu nazwisko Tadeusza Sinki, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu przyznano nagrodę za całokształt działalności naukowej i pedagogicznej w dziedzinie filologii klasycznej.

Nagroda jest wyrazem uznania dla wielkiej pracy i niepospolitego



Tadeusz Sinko

talentu naukowego prof. Sinki, który już przeszło pół wieku sprawuje u nas „poselstwo kulturalne" od starożytnych Greków i Rzymian. Nie ma dziś w Polsce nikogo, kto zetknąwszy się choćby przypadkowo z kulturą klasyczną nie natrafił na nazwisko Tadeusza Sinki. W szkole mieliśmy w ręku jego *Gramatykę łacińską*, teksty Horacego i Owidiusza, w domu można było czytać *Od Olimpu do Olimpii* lub *Antyk Wyspiańskiego*, w pracy naukowej służyły rzetelnie rozprawy poświęcone różnym autorom starożytnym i prace o związku naszego piśmiennictwa z antyczną kulturą, a wreszcie *Literatura grecka* — jedyne w swoim rodzaju dzieło wśród pozycji naukowych w Polsce. Działalność naukową profesora Sinki charakteryzuje właśnie ta uniwersalność zainteresowań oraz umiejętność przemawiania zarówno do naukowców, jak i do szerokiej rzeszy młodzieży i niespecjalistów.

Omówić tę działalność na jednej stronie czasopisma niesposób — nie tylko ze względu na jej tematyczną rozległość (nie ma właściwie dziedziny w zakresie filologii klasycznej której by prof. Sinko nie dotknął swym piórem), ale i ze względu na liczbę dzieł publikowanych. Wystarczy powiedzieć, że ilość naukowych pozycji profesora Sinki przekroczyła już liczbę 750, by wprawić nas w podziw i zdumienie wobec wielkiej pracy i talentu tego polskiego Chalkenterosa.

Zwróćmy więc uwagę jedynie na kilka dziedzin pracy profesora Sinki, w pierwszym rzędzie na uwidocznione w motywacji przyznania nagrody dzieło — *Literaturę grecką*.

✶

LITERATURA grecka profesora Sinki jest przedmiotem naszej uzasadnionej dumy. Nie ma drugiego w Polsce, a nawet i za granicą, dzieła tak wyczerpującego i obszernego, w którym znalazłby pełny wyraz współczesny stan badań naukowych tego przedmiotu. Pierwszy tom (w dwóch częściach), liczący około 1200 stron, ukazał się w r. 1931 i następnym nakładem Polskiej Akademii Umiejętności i obejmuje literaturę od okresu archaicznego do upadku niepodległości Grecji. Pochód autorów greckich otwiera Homer, któremu poświęcone strony 17 — 167 omawiają olbrzymią i trudną już dzisiaj do ogarnięcia dla niefachowca literaturę tzw. „kwestii Homerowej", a zamyka Arystoteles, na którym kończy się okres klasyczny literatury greckiej. W kilkanaście lat później, a więc już po wojnie, ukazują się następne tomy monumentalnie zakrojonej *Literatury*, która zdobywa sobie uznanie i za granicą. Nic w tym dziwnego. Rekonstrukcja epoki hellenistycznej, której poświęcony jest tom drugi (w dwóch częściach), przedstawia dla każdego, nawet tej miary co profesor Sinko, uczonego ogromne trudności. Bo też chodzi tu o rekonstrukcje w ścisłym tego słowa znaczeniu. W porównaniu z epoką klasyczną, która zachowała nam najcenniejsze utwory swych przedstawicieli w obfitej spuściźnie, okres hellenistyczny przedstawia dla badacza teren niezwykle zubożały. Większość utworów zaginęła; nawet wielkie postacie tego okresu, jak Posydoniusz, znane są tylko z pośrednich wypowiedzi i fragmentów zachowanych u późniejszych autorów. Jest wielką zasługą profesora Sinki, że rekonstrukcja ta wypadła tak wspaniale i rzetelnie zarazem. Kto miał w ręku monografię epoki hellenistycznej Susemihla (z 1892 roku), czy też odpowiedni tom literatury Christa w opracowaniu Schmida — dzieła cenne, ale jakże suche i schematyczne, prawdziwe rejestry, niekompletnych już zresztą dzisiaj, faktów i lita nie cytat! — ten w pełni doceni *Literaturę grecką* profesora Sinki, pełną śmiałych syntez i uogólnień, która nie ogranicza się tylko do drobiazgowej analizy, ale pokazuje nam zawsze głęboki i syntetyczny obraz badanej epoki.

Odnosi się to także i do trzeciego tomu omawiającego literaturę trzech pierwszych wieków po Chrystusie. Tom ten zawiera między innymi rozdziały o księgach kanonicznych Nowego Testamentu i analizę początków piśmiennictwa chrześcijańskiego. Katolickiego czytelnika zainteresuje z pewnością stanowisko, jakie zajmuje wybitny filolog w kwestiach dotyczących historycznej i filologicznej dokumentacji Nowego Testamentu.

„Pisząc dotychczas — mówi prof. Sinko — *o autorach greckich zwracaliśmy uwagę zarówno na treść, jak i na formę ich utworów; przy historykach także na ich wiarygodność i źródła; a w razie braku wewnętrznych (tj. w samych utworach zawartych) świadectw o osobach pisarzy i ich czasie, oglądaliśmy się skwapliwie za świadectwami zewnętrznymi, nieraz bardzo późnymi (np. Suidasa z X w. po Chr.) by ich doniesieniami (odniesionymi, o ile się da, do wcześniejszych źródeł) wypełniać owe luki. Ponieważ zaś teksty doszły do nas w kodeksach pisanych przeważnie dopiero po IX i X wieku po Chr. sprawdzaliśmy ich przekaz czasem na podstawie znacznie starszych papirusów, zwykle przy pomocy cytatów u autorów wcześniejszych niż rękopisy, i w oparciu o taką historię tekstu ustalaliśmy pokrewieństwo zachowanych rękopisów i oceniali ich wartość. Suma wiadomości o każdym autorze i utworze miała stanowić przygotowanie do lektury tekstów, jako wyrazów pewnych osobistości i pewnej treści. Przy księgach kanonicznych Nowego Testamentu filolog jest w tym szczęśliwym położeniu, że rozporządza świadectwami zewnętrznymi dobrze poinformowanych autorów z czasów bardzo bliskich powstania owych ksiąg i wczesnymi cytatami, niemniej jak rękopisami już z IV wieku i wcześniejszymi (już od początku II w.) papirusami. Wobec takiego stanu rzeczy, należałoby oczekiwać nie tylko łatwości w ukonstytuowaniu krytycznego tekstu, ale i zgody przynajmniej co do osoby autorów i czasu powstania ich dzieł. Tymczasem tylko zwolennicy tzw. metody tradycyjnej, zgodnej zasadniczo z powyższą metodą filologiczną (i wszelką historyczną), opierają się na wiarygodnych świadectwach zewnętrznych i uzgadniają je ze wskazówkami wewnętrznymi, gdy inni owe świadectwa osłabiają, by tym swobodniej stawiać hipotezy o powstaniu owych ksiąg".* (*Literatura grecka*, t. III. cz. I, str. 36).

Dodajmy wreszcie za wieloma recenzentami (por. J. Manteuffel, rec. w „Eosie" 194., i K. Kumaniecki, *Działalność naukowa Tadeusza Sinki*, „Meander", 1947, 9—10), że dzieło prof. Sinki jest najpełniejszym i najświeższym obrazem badań nad literaturą grecką epoki hellenistycznej i rzymskiej w Europie. Analogiczne opracowania zagraniczne tych okresów są już dziś znacznie przestarzałe lub też nie dorównują rozmiarami dziełu profesora Sinki.

Wśród cennych zalet książki wymienić należy jeszcze jedną, która zainteresuje przede wszystkim czytelnika polskiego, że omawia ona szeroko także pośmiertne dzieje starożytnych utworów literackich i ich wpływ na twórczość europejską, a szczególnie na piśmiennictwo polskie. Bo też powiedzieć trzeba, że śledzenie wpływów antycznej kultury w literaturze polskiej stanowi jedno z najważniejszych zainteresowań prof. T. Sinki.

✶

NIE jest rzeczą przypadku, że praca doktorska Tadeusza Sinki (*De Gregorii Sanocei studiis humanioribus*, „Eos" 6, 1900) dotyczyła polskiego humanisty. Jeszcze w 23 lata później pisał autor w przedmowie do książki *Echa klasyczne w literaturze polskiej* (Kraków, 1923): *„Opuszczając w jubileuszowym roku 1900 mury Wszechnicy Jagiellońskiej unosiłem z sobą w świat — barwy dwóch wybranek, którym ślubowałem wierność i służbę na całe życie: Filologii klasycznej i Literatury polskiej. Ta podwójna czy dwojaka miłość nie wydawała mi się ryzykowną, ponieważ od początku w literaturze polskiej interesowały mnie przede wszystkim rysy i barwy antyczne, tak że przebiegając łany polskie szukałem na nich kwiatów greckich i rzymskich i miałem to przeświadczenie, że moje prace polonistyczne są tylko stwierdzeniem żywotności i urodzajności antyku".*

To wyznanie najlepiej charakteryzuje pewien — w tamtych czasach dość jeszcze rzadki w Polsce — typ filologa klasycznego, który swe zamiłowania do kultury antycznej umiał spożytkować na wykazanie jej żywotnej siły w kulturze średniowiecza i czasów nowożytnych. Można powiedzieć, że pionierskie prace Tadeusza Sinki z dziedziny literatury polsko-łacińskiej i wpływów literatury antycznej na polską odegrały podwójną rolę: przyniosły cenne odkrycia i obudziły zainteresowanie dla omawianych przez profesora Sinkę problemów. Rozpowszechniły ten typ zainteresowań u wszystkich niemal przedstawicieli wiedzy o grecko-rzymskim antyku. I jak oczywistą jest rzeczą, że dzięki pracom profesora Sinki, takim jak: *Echa klasyczne w literaturze polskiej*, *Hellada i Roma w Polsce*, *Tradycje klasyczne Adama Mickiewicza*, *Hellenizm Słowackiego*, *Antyk Wyspiańskiego*, wiemy dziś tak dużo o starożytnych natchnieniach naszych pisarzy, tak też każdy przyznać musi, że współczesna, powojenna działalność wielu filologów w dziedzinie literatury polsko-łacińskiej (wyrażająca się np. w pracach nad Modrzewskim czy Sarbiewskim) w dużym stopniu swoją żywotność zawdzięcza tamtym pracom profesora Sinki, które otworzyły nową, nie przeoraną — i dziś jeszcze — do końca, dziedzinę.

✶

WŚRÓD wielkiej liczby prac profesora Sinki poświęconych postaciom starożytnym, wśród cennych dzieł i przyczynków związanych ze światem antycznym odnajdujemy z zainteresowaniem imię św. Grzegorza z Nazjanzu, doktora Kościoła i patriarchy Konstantynopola. Kiedy Berlińska Akademia Nauk zainicjowała nowe wydanie greckich Ojców Kościoła, równolegle do wiedeńskiego *Corpus scriptorum ecclesiasticorum Latinorum*, Polska Akademia Umiejętności podjęła się pracy nad dziełami Grzegorza z Nazjanzu. Stanęli do niej wybitni filologowie: L. Sterbach (który podjął się opracowania utworów poetyckich Grzegorza), Przychocki, Witkowski, Sajdak. Młodemu Tadeuszowi Since powierzono krytyczne wydanie mów. Jako stypendysta Akademii bada on rękopisy mów św. Grzegorza w Paryżu i w bibliotekach włoskich i wkrótce staje się jednym z najlepszych znawców tradycji rękopiśmiennej mów św. Doktora. Od 1906 roku wydaje cykl rozpraw poświęconych Grzegorzowi, których ukoronowaniem są dzieła podstawowe dziś dla każdego badacza Grzegorza: *De traditione orationum Gregorii Nazianzeni: pars prior 1917 i pars secunda 1923*. W roku 1947, tzn. w dwadzieścia cztery lata po ostatniej pracy o Grzegorzu, odnajdujemy w bibliografii dzieł profesora Sinki (zestawionej przez doc. dra Wł. Madydę w *Charisteria Thaddaeo Sinko... oblata*, 1951) nową rozprawę poświęconą św. Grzegorzowi: *Chronologia poezji Grzegorza z Nazjanzu*, (Spraw. PAU, 1947.) W tym samym roku ukazują się w Wydawnictwie Mariackim w Krakowie w tłumaczeniu prof. Sinki homilie i kazania św. Bazylego Wielkiego, oraz *Dwadzieścia homilii i mów św. Jana Chryzostoma*, opatrzone cennymi wstępami, a w dwa lata później homilie tegoż Świętego na Listy Pasterskie św. Pawła i na list do Filemona.

✶

MOŻNA by tak długo jeszcze mnożyć przykłady i ukazywać ogromny krąg zainteresowań profesora Sinki i jego rozległą wiedzę, wyliczać stale rosnącą liczbę dzieł, a obraz jego działalności byłby niepełny. Dlatego też nie ulegając pokusie przedstawienia go choćby w szkicowym zarysie, pokazaliśmy naszym czytelnikom kilka z licznych dziedzin prac profesora Sinki w przekonaniu, że te właśnie najbardziej ich zainteresują.

Refleksje o chrześcijańskiej demokracji

Stronnictwa chrześcijańsko-demokratyczne posiadają swe „lewe skrzydła". Istnieją niewątpliwie w łonie tych kierunków opozycje oskarżające kierownictwa o oportunizm, o reakcyjność. Wieloletnie doświadczenie wykazuje, że te wewnętrzne opozycje skazane są na bezsilność. Rzeczywistość krajów kapitalistycznych daje im do wyboru — albo pozostawanie na pozycjach jałowej krytyki (nie raz demagogicznie wykorzystywanej przez kierownictwa dla podkreślenia rzekomo demokratycznego i postępowego charakteru stronnictwa), lub też szukanie współpracy z ugrupowaniami lewicowymi, z komunistami w pierwszym rzędzie. W tym wypadku, zrywając z dogmatem antykomunistycznym chadecji — opozycja zmuszona jest zerwać z samym stronnictwem i jest natychmiast zgodnym chórem całej propagandy partyjnej oskarżona o herezje już nie polityczną, ale wręcz religijną. W ten sposób Adenauer pozbył się opozycji Heleny Wessel, de Gasperi — Dossetiego, MRP walczy z „progressistami" i pokrewnymi tendencjami w chrześcijańskich centralach zawodowych.

PRAKTYKA lat powojennych wykazała, że jedynym skutecznym przeciwstawieniem się monopolistycznym tendencjom chadeckim na odcinku katolickim, było kompletne zerwanie ze wszystkimi elementami mentalności i politycznego programu tego ruchu. Mówiąc prosto — jedyną drogą rzeczywistego przeciwstawienia się fatalnym konsekwencjom działalności ruchów chrześcijańsko-

Dokończenie ze str. 3

demokratycznych — to zerwanie z reprezentowaną przez nią mentalnością burżuazyjną i zdecydowane przeciwstawienie się stosunkom kapitalistycznym, którym podporządkował się program chadecki.

Doświadczenia polskie, wymowa ideologiczna zasad zawartych w Porozumieniu biją bezpośrednio w program chrześcijańsko-demokratyczny. Dostrzegli to już „ideologowie" tego kierunku. Na łamach katolickiego tygodnika włoskiego, o tendencjach postępowych „La Via" opublikowano niedawno tłumaczenie niektórych artykułów polskiej prasy katolickiej omawiających problem Porozumienia. Na łamach tegoż tygodnika odpowiedział listem otwartym jeden z publicystów włoskiej chadecji — Renato Tozzi-Condivi:

„Czy chcesz powiedzieć, pyta się redaktora La Via, *że byłoby dopuszczalne budowanie* (przez katolików) *społeczeństwa na ekonomicznych podstawach komunizmu?"* I oto pada odpowiedź: *„Jeżeli to się zdarzyło w Polsce, jeśli to jest wogóle możliwe, dlaczegóż by nie spróbować tego samego i u nas? Czyż nasza zacięta walka, na śmierć i życie z komunizmem ma wogóle sens, jeśli w gruncie rzeczy postęp oznacza to, co się urzeczywistniło w Polsce? Pocóż spodziewać się ewolucji ustroju ku formom społecznie i ekonomicznie lepszym od obecnych, ściśle kapitalistycznych, jeśli komunizm jest cechą cywilizacji jutrzejszej, jeżeli Twoi autorzy mogą pisać: „fakt wkroczenia na arenę dziejów nowego, dynamicznego ruchu rewolucyjnego, dążącego do obalenia dotychczasowego ustroju nie powinien stworzyć powodu do kolizji z Kościołem"*.

Tozzi-Condivi kończy swe rozumowanie iście hamletowskim okrzykiem — *„Artykuł ten*, stwierdza on, *jest albo uderzeniem pięścią w plecy, albo zapowiedzią nowej jutrzenki!"* Jutrzenki, dodajmy, rzecz oczywista dla niego najzupełniej niespodziewanej i przewracającej cały porządek rzeczy wyobrażany sobie przez konserwatywne środowiska na zachodzie na odcinku stosunków między Kościołem Katolickim a rewolucją proletariacką.

Okrzyk rozpaczy włoskiego publicysty jest najzupełniej zrozumiały. Cała reakcyjna polityka chrześcijańskiej demokracji oparta jest na jednym fundamencie, na założeniu, że w żadnej dziedzinie i w żadnej formie współpraca między katolikami a światem rewolucji nie jest możliwa. Udowodnienie, że katolicy mogą żyć w rzeczywistości socjalistycznej będąc jednocześnie nie tylko lojalnymi, ale i aktywnymi członkami społeczeństwa, ale i jednocześnie integralnymi wyznawcami swej religii i z niej wynikającego światopoglądu — to śmiertelny cios zadany wstecznym hasłom, hasłom sojuszu katolików z amerykańskim imperializmem, głoszonym przez wszystkie chrześcijańsko-demokratyczne kierunki w Europie zachodniej.

Wojciech Kętrzyński

Romano GUARDINI

Obraz Boży w człowieku*)

NIEKTÓRE kierunki myśli nowoczesnej pojmują człowieka jako istotę, która rozwija się z własnej natury, wchodzi w związki z rzeczywistością świata, dokonywa w niej swego dzieła, a dopiero poza tym, co bezpośrednio uchwytne i doczesne, odsłania jeszcze jakieś podłoże metafizyczne. Lecz tego podłoża może i nie być. Czy i jak się ono przejawia, pozostaje subiektywną sprawą przeżycia i potrzeby. Wpływa to podłoże wprawdzie na postawę i życie osobowości, lecz nie inaczej niż np. kwestia, w jaki sposób kieruje ktoś swym losem czy miłością do człowieka. Nie dotyka — jego istoty jako takiej.

Czy to prawda?

Czy stosunek do Boga nie nosi całkiem swoistego charakteru, odrębnego od wszelkiego innego stosunku? Może właściwe jeno ułożenie stanowi ową wstępną przesłankę, której szukamy, od której zależy, jak dalece człowiek będzie znał samego siebie, ponieważ należy ona do samej jego istoty? I czy nie tu trzeba by szukać przyczyny tego zadziwiającego faktu, że nowoczesny człowiek, który z niesłychanym nakładem wysiłku i odkrywczości, eksperymentu i teorii docieka problemu, czym jest to, co ma przed oczyma, mianowicie on sam, w wyniku otrzymuje tylko gmatwaninę sprzeczności?

W pierwszej księdze Pisma św., w księdze Rodzaju, czytamy:

„I rzekł (Bóg): Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze; a niech panuje nad rybami morskimi i nad ptactwem niebieskim, jak nad zwierzętami, nad wszystką ziemią i nad wszelkim też płazem, który się czołga po ziemi. I stworzył Bóg człowieka na obraz swój, na obraz Boży stworzył go, mężczyznę i kobietę" (Rodz. I, 26 — 27).

Wedle tych słów człowiek jest podobizną Boga. To właśnie powiedziano o człowieku przed wszystkim innym. Jest to podstawowe określenie człowieka w Piśmie św., określenie, którego treść zawarta jest domyślnie w każdej innej wypowiedzi na temat człowieka.

Co to oznacza? Czyż istota skończona może być podobna do Boga?

Jakaś rzecz może być kopią innej: Na przykład powie ktoś rzemieślnikowi, aby sporządził mu stół, tak zbudowany jak ten, który mu wskazuje. Jest to podobieństwo proste. Lecz bywa i bardziej skomplikowane. I tak, dziecko może być obrazem swych rodziców. Ma właściwości znamienne dla rodziców; są one jednak przeniesione do jego osobowości. Jak ma się rzecz z podobieństwem do Boga?

Bóg jest przecież istotą nieskończoną. Jest bytem w pełnym tego słowa znaczeniu: Istotą, Życiem, Prawdą, Szczęśliwością. I jest tym wszystkim w stopniu takim, który przekracza wszelkie słowa, gdyż słowa wyrażają jedynie wysiłek naszego umysłu, aby wyjaśnić sobie to co niepojęte. Jak może człowiek, będący istotą stworzoną i skończoną, być obrazem Nieobjętego?

A przecież musi tak być, ponieważ Bóg sam to mówi. I co więcej, w tym, że jest podobizną Boga, tkwi istota człowieka. O kopii nie może tu być mowy, bo nie ma kopii Boga. Do istoty stosunku, o który tu chodzi, zbliża nas już bardziej to co powiedzieliśmy o stosunku rodziców do dziecka. Istotna cecha rodziców przenosi się na istotę dziecka; tak że staje się jego własnością, z jego osobowości na nowo się rodzi.

Jeszcze bliżej podchodzimy do istoty zagadnienia snując następujące rozumowanie: Kiedy przypatrujemy się czyjejś twarzy, widzimy, co odbywa się w duszy, odczytujemy szacunek, przychylność, nienawiść, strach. Samą w sobie nie sposób widzieć duszę, będącą czymś duchowym; lecz przenosi się ona na ciało i w nim staje się widoczna. W ciele ludzkim przejawia się rzeczywistość duszy, znaczy to jednak, że przy całej odmienności jest ono do duszy podobne.

Po tej linii możemy pójść jeszcze dalej: lecz chyba dostatecznie zbliżyliśmy się do tego, co mamy na myśli, co jest nieuchwytne, a stanowi przecież naszą istotę; do czego przystępować winniśmy z bojaźnią, lecz i ufnością zarazem: mianowicie do prawdy, że Bóg przenosi nieskończoną pełnię i doskonałą prostotę swego pierwowzoru na skończoność i kruchość stworzenia.

A to co dokonywa się w dziele stworzenia, to dopiero szkic. Dopełnienie nastąpi, kiedy Bóg — odwieczny Syn— znajdzie nie tylko odbicie w człowieku, lecz stanie się człowiekiem. Mówiąc o Chrystusie powiada Jan: „Słowo stało się ciałem... i widzieliśmy chwałę Jego chwałę jako jednorodzonego od Ojca". Znaczy to: jak w twarzy człowieka widzi się jego duszę, tak w żywym bycie Jezusa można było oglądać odwiecznego Syna Bożego — przyjąwszy oczywiście, że w spojrzeniu była duchowa pojętność, wiara i miłość. Pewne wyobrażenie o tej tajemnicy daje moment upodobnienia, jaki odnajdujemy w ludzkiej naturze.

Jeśli tak się rzecz ma, dążność do upodobnienia przenika oczywiście całe jestestwo człowieka. Jest czymś równie wyraźnym co tajemniczym: jest postacią zasadniczą, w jakiej istnieje człowieczeństwo, kategorią, jaka jedyna pozwala je zrozumieć.

Stanie się to jeszcze bardziej oczywiste, gdy uświadomimy sobie, co odróżnia człowieka od wszystkich innych istot: jego osobowość. To, że jest osobą, oznacza: jest kimś samoistnym. Może działać z własnej siły początkowej, rozporządzać sobą i rzeczami. Na pytanie: kto tego dokonał? może odpowiedzieć: „ja" i odpowiedzialnie poręczyć to w własnym sumieniu. Jest tak, ponieważ Bóg takim go właśnie pomyślał i w bycie utwierdził. Jak to się stało? Nie tylko tak, że stworzył On człowieka i wstawił niejako w samego siebie, lecz przez akt całkiem innego rzędu: Uczynił człowieka swoim „Ty" i sprawił, że i on sam ma w Bogu swoje „Ty", swoje właściwe „Ty". W tym stosunku Ja — Ty tkwi jego istota. I jedynie dlatego, że Bóg ustalił między sobą a człowiekiem ów stosunek typu Ja — Ty, może on z innymi ludźmi wchodzić w związki typu osobowego. Tylko on może mówić do kogoś innego: „Widzę cię, czczę cię", a to dlatego, ponieważ Bóg pozwolił mu mówić do siebie. Pana: „Tyś Stwórca mój... uwielbiam Cię".

W rozstrzygającym dla naszego problemu objawieniu na górze Horeb ukazuje się Bóg Mojżeszowi w płonącym krzaku ciernistym. Kiedy ten pyta Go o imię, odpowiada: „Jam jest, którym jest". Wypowiedź o niewyczerpanej głębi. Mówi: „Jestem Tym, który nie ma imienia od świata, lecz wyłącznie od samego siebie". I jeszcze głębiej: „Jestem Tym, który sam jeden może i ma prawo mówić: Ja". W najczystszym sensie tylko Bóg jest „Ja", tylko On sam. Kiedy mówimy: „on", możemy myśleć o jakimkolwiek człowieku; jeśli mówimy to jednak najszczerzej i z głębi ducha, wtedy myślimy o Bogu. Kiedy mówimy: „ty", możemy się z tym zwracać do jakiegoś człowieka; jeśli mówimy to jednak całym naszym jestestwem, z pełną otwartością, wtedy przyzywamy Boga... A raczej to Bóg woła człowieka. I to nie tylko tak, jakby człowiek już był, a On zwracał dopiero do niego swe słowo, aby czegoś doznawał czy coś czynił; wołając człowieka, Bóg utrwala go w bycie i przez to właśnie staje się on sobą.

*

GRZECH pierworodny polegał na tym, że człowiek nie chciał już być podobizną, tylko sam — pierwowzorem; wiedzącym i potężnym jak Bóg. Przez to wypadł ze związku z Bogiem. Most utracił drugi brzeg. Tak zapadła się w samej sobie pozorna wielkość i ukazał się zagubiony człowiek.

Nic nie wiemy długich etapach jego życia w ciemnościach zagubienia. Być może będziemy kiedyś w stanie dowiedzieć się, co zezna o tym sztuka najwcześniejszych epok; może nauczymy się kiedyś wydobywać z archeologicznych znalezisk odpowiedź na to pytanie. W rzeczywistości, owa ciemność nie była fazą, poprzedzającą wejście w krąg światła kultury, lecz zabłąkaniem i niepokojem po upadku.

W stanie tym nie wiedział już człowiek, kim jest, ani na czym polega sens tego życia. Na północy znają bajkę o ludziach, których serca dotknął czarnoksiężnik. Odtąd nie wiedzą już, kim są i bezskutecznie usiłują odnaleźć samych siebie.

To coś podobnego do tego, co rozważamy: Ludzie nie wiedzieli już,

(Dokończenie na str. 6)

*) Fragmenty większej całości.

Mówi Wrocław

(Dokończenie ze str. 1)

bunkier, który musi być zdobyty. Słyszałeś? Był moment kiedy już mógł spocząć na laurach, ale nie. Wszystkie kwestie w zwartym szeregu winny być doprowadzone do zwycięskiego celu".

— Tekst uchwalonej przez Kongres rezolucji został zakomunikowany mieszkańcom Wrocławia na wiecu, który zgromadził w Hali Ludowej ponad 40 tys. uczestników. Wśród niemilknącej burzy oklasków Edward Ochab wskazywał na miejsce jakie zajmuje walka o rozwój Ziem Odzyskanych w Programie Frontu Narodowego.

Edmund Osmańczyk przypomniał zebranym starą prawdę polityczną, że zawsze ilekroć Polaków bito nad Odrą — równocześnie byli bici Polacy nad Wisłą. W rozjarzonej blaskiem reflektorów olbrzymiej amfiteatralnej sali czterdzieści tysięcy oddechów nacichało, kiedy młody trybun Opolszczyzny kreślił koszmarny obraz niedawnej przeszłości zachodnich dzielnic. Przemówienie Osmańczyka trzeba było słyszeć. Nie podejmuję się odtworzenia tego niezwykłego zjawiska oratorskiego i politycznej mądrości, którego wówczas byłem świadkiem. Groźny i namiętny — całym sobą symbolizował sprawy relacjonowane. Powesełał serdecznie, kiedy od wizerunku straszliwej krzywdy ludu śląskiego wydanego z łaski polskich panów na łup pruskich junkrów mógł przejść do zwycięskich barw śląskiej teraźniejszości.

Ta czarno-biała tonacja w jakiej było utrzymane przemówienie Osmańczyka świetnie przystawała do atmosfery tamtego spotkania. To nie był czas odpowiedni dla dzielenia włosa na czworo. Nie był i nie jest. Wszak zaledwie przed kilkunastu dniami generał Eisenhower łagodząc swoje pierwsze kandydackie wystąpienie jawnie wojenne — opowiedział się w drugim za stosowaniem polityki „otwartej rany" wobec krajów zza żelaznej kurtyny.

Osmańczyk mówił o odzyskaniu autentycznego obywatelstwa przez Polaków zamieszkujących Ziemie Odzyskane. „Najpierw obowiązywał termin „poddani". Poddani cesarza niemieckiego. „Obywatelstwo" przyniosł nam dopiero... Hitler. Oczywiście było to obywatelstwo drugiej kategorii, z dopiskiem na Kennkarcie: „Achtung-Pole!"

Nawet wtedy gdy przemówienie Osmańczyka po serii olśniewających point oratorskich zdawało się dobiegać do finału — czuło się, że ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane. Kongres i wiec domagały się klamry odpowiadającej tej, która „zjednoczyła na zawsze" Ziemie Odzyskane z Polską. Nie myliliśmy się. Osmańczyk trzymał tę klamrę w zanadrzu. Pora stosowna dla jej ujawnienia nadarzyła się w chwili, kiedy mówca zawadził o problem przyrostu naturalnego. Wtedy jednym zdaniem rozsadził wieżę przesądów nagromadzonych jeszcze tu i ówdzie na temat terminu — „autochton". Jacyż tam autochtoni — śmiał się Osmańczyk. „Takich autochtonów jak my, tutaj urodzonych jest już o milion więcej!"

Mikołaj Rostworowski

DANIEL-ROPS

Prawdziwy kapłan

W STARYM domu w departamencie Ain, użyczającym w lecie schronienia mej pracy, przez dziesięć lat żyłem pod opieką proboszcza z Ars. Zapomniana przez spadkobierców starego kanonika, który przebywał tu przede mną, figurka z pokrytego farbą gipsu, w najlepszym stylu Place Saint-Sulpice, zdobiła moje biurko i ilekroć podnosiłem głowę, napotykałem na karmelkowo-różowym obliczu uśmiech o tak niewalającej słodyczy i o takiej potędze wezwania, że zawsze czułem się nim bardzo pokrzepiony. Jako twór sztuki posążek był niewątpliwie pospolity, a jednak — przyznaję się — to on skłonił mnie do czytania proboszcza z Ars i do bliższej refleksji nad jego postacią i przykładem życia.

Z życia tego oraz ze zbioru kazań i wskazówek, tak zręcznie opracowanego przez jego następcę, Msgr Convert, można wyciągnąć wiele pożytecznych nauk, a niejedna z nich dotyka tego, co w nas najgłębsze. Szczególnie jednak doniosła zawiera się w samej nazwie, którą powszechnie mu dajemy: proboszcz z Ars. Można by powiedzieć, że jego ludzka osobowość, charakter, fizjonomia, wszystko niemal, włącznie z nazwiskiem Jana Marii Vianney, niknie i unicestwia się pod promieniowaniem jego urzędu. Jest bardzo prawdopodobne, że wielu nie zna rodowego nazwiska, jakie nosił wikariusz ponurej parafii w Dombes; nie ma przecież nikogo, kto by nie wiedział, że proboszcz z Ars jest jednym z największych francuskich świętych.

Był kapłanem, kapłanem i niczym innym. Przez długie lata całe pielgrzymki wędrowały do skromnego kościółka, zagubionego u brzegu moczarów, gdzie dzięki niemu błyszczało światło Boga. Mówi się o osiemdziesięciu, o stu tysiącach odwiedzających w ciągu roku — ładna procesja pątników. Fascynował tłumy, władczo rzucał je do stóp Pana. I to bynajmniej nie oryginalnością nauki, ani blaskiem słowa, ani nawet, jak w Lourdes, niezwykłymi czynami i cudami (dokonywał ich, lecz nie w tym tkwiła istota rzeczy): działał sama tylko świętością, przeświecającą z jego apostolskiej duszy, działał mocą cnoty kapłańskiej.

Proboszcz, zwykły proboszcz. Słowo to, któremu ironia nadaje tak wzgardliwą intonację, uczynił najpiękniejszym z nazwań, wyrazem swych wysokich cnót. W swym „Katechizmie kapłańskim" w sposób doskonały mówił o piętnie kapłańskim, o nadprzyrodzonym posłannictwie sług Bożych: „Kapłan nie jest kapłanem dla siebie; jest nim dla wszystkich. Po Bogu kapłan jest wszystkim". I słowa te, które — wypowiedziane przez kogo innego — mogłyby się wydawać naiwnie próżne, w tych ustach nabierają nieodpartej oczywistości i prawdy: potwierdza je całe życie.

Zapewniano nas, że proboszcz z Ars nie błyszczał w seminarium i niewiele wiedział z teologii. Według relacji, jego kazania były tylko ubogim rozwinięciem katechizmu, niczym więcej; nie mówił też zbyt dobrze. Lecz płonął w nim— poświadczają to wszyscy jego współcześni — Boży żar, ten żar, którego, jak powiedziano, nie należy kłaść pod korzec. Gdy jego przełożonego w hierarchii Msgr biskupa z Belley, zmęczyło już wysłuchiwanie doniesień jakiegoś uczonego kanonika o nieuctwie wikarego z Ars, dał mu następującą znakomitą odpowiedź: „Nie wiem, czy jest wykształcony, lecz na pewno nie brak mu oświecenia z góry". I tu tkwi sedno sprawy.

Będąc w pełni kapłanem, to znaczy, jedynie świadkiem Chrystusa wśród ludzi, Jan Maria Vianney mógł w porządku doczesnym znacznie ustępować wielu pod względem wiedzy. Jego wyższość była z innego porządku; porządku, w którym oczekujemy, aby kapłan był całkowicie sobą; porządku, w którym jaśnieje światło, słowo staje się zwiastowaniem, a ofiarowywanie siebie odbywa się w miłości.

Mówiono nam, że okazywał zadziwiająco szerokie zrozumienie dla wszystkich. Zawsze miał szeroko otwarte ramiona dla wszelkiej nędzy, która doń śpieszyła. Jak na przymusowych robotach przykuty przez całe dnie do konfesjonału, nie czynił w gruncie rzeczy nic więcej, aniżeli czynią nasi kapłani po najmniejszych parafiach: oczyszczał dusze. Lecz czynił to z tą nieznużoną szlachetnością, jaką daje tylko łączność z Bogiem żywym. Pełnił w całej rozciągłości swój urząd kapłański. I to jest wielka lekcja jego życia.

LEKCJA ta odbija się w przykładzie innych. Rzuca posiew w najpłodniejsze dziedziny współczesnego chrześcijaństwa. Że potrzeba nam księży wyrobionych, z dużym wykształceniem, zdolnych argumentem i kontrargumentem odpowiedzieć w dyskusjach, w których stawką jest prawda — to pewne i wszyscy o tym wiemy. Lecz być może, jest to potrzeba wtórna; właściwa sięga głębiej. Cóż po wiedzy teologicznej, jeśli nie żyje nią cała istota, oddana swemu powołaniu? Na co przyda się znawstwo tekstów, jeśli miłość i poświęcenie nie sprawia, aby ono promieniowało? Skuteczność oddziaływania kapłana zależy o wiele bardziej od żaru, jaki ze siebie emanuje, od jasności jego spojrzenia, od ramion zawsze gotowych na serdeczne przyjęcie, aniżeli od subtelności jego argumentacji i wnikliwości jego krytycznego umysłu. Dwunastu uczniów Chrystusa nie było wielkimi uczonymi, w porównaniu z filozofami ateńskimi pierwsi Ojcowie Apostolscy byli dość ubodzy duchem. Lecz umieli całkowicie oddać się temu, co najistotniejsze, to znaczy: nieść światło, kochać, wierzyć, dawać świadectwo. I tym zwyciężyli.

Kiedy wymawiamy słowo „kapłan", czyż nie znamy oddźwięku, jaki się w nas budzi? A kiedy lud mówi o wikarym, o skromnym proboszczu: „To prawdziwy kapłan!", czy nie wiemy, co to oznacza? Obok Jana Marii Vianney stoją przed naszymi oczami wszyscy ci ze świętej kohorty, wszyscy owi „prawdziwi kapłani", będący wiernymi świadkami Bożymi. Myślimy o ojcu Lamy, proboszczu z Courneuve, towarzyszu Maritaina i Piotra Ternier, który aż do nas doniósł swe całkiem podobne do tamtego posłanie. Przypominamy sobie tego proboszcza z wysokich gór, który w zimową noc — widzieliśmy to sami — wyruszał na nartach w nieprzyjazny mrok, aby dziesięć kilometrów nieść święty wiatyk umierającemu. Przywołujemy też na myśl tych czy owych — a moglibyśmy nazwać ich po imieniu — proboszczów z naszych przedmieść czy parafii wiejskich, młodych wikarych, ofiarnie dających się pochłonąć nadmiarowi zadań; zżeranych przez funkcję kapłańską aż do zupełnego fizycznego wyczerpania jak u Jana Marii Vianney.

W naszej godzinie dziejowej ponad wszystko inne trzeba Kościołowi tej formy świętości, która może zrodzić się jedynie z wypełniania elementarnych cnót chrześcijańskich: wiary i miłości. Podobnie, gdy w pierwszych czasach naszej historii chodziło o to, aby zasiać wszędzie Pańskie ziarno oraz dać świadectwo Prawdzie — dwóch naczelnych przymiotów wymagano od sług Boga: aby byli nadprzyrodzeni i żyli w miłości.



Tadeusz Breza

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (29)

Eksperyment Tadeusza Brezy*)

DROGA pisarska Tadeusza Brezy jest drogą powolnego, w trudzie samoprzebudowy dokonywanego przełomu. Ciągłe narastanie w świadomości pisarza zrozumienia dla społecznego sensu dziejącej się historii powodowało przesuwanie się uwagi z jednostkowych, oderwanych i nietypowych losów ludzkich ku grupowym, klasowym zagadnieniom rzeczywistości. Powoli krystalizujący się stosunek wobec społecznych zadań sztuki pisarskiej krystalizował jednocześnie w pisarzu jego postawę wobec środków jej działania, nakazywał mu ich selekcję, często — jak się okaże — zmuszał do szlachetnej w intencjach symplifikacji, upraszczania czy ukomunikatywniania własnej relacji artystycznej.

Baczny historyk literatury potrafi kiedyś dokładnie przedstawić poszczególne etapy tej drogi, która od „Adama Grywałda" poprzez „Mury Jerycha", „Niebo i ziemię" wiodła do „Uczty Baltazara", a od niej — w niewiadomą jeszcze dzisiaj przyszłość pisarską. Historyk będzie mógł wzbogacić swój ogląd pisarstwa Brezy i mądrością perspektywy i analizą powstających jeszcze materiałów; współczesny opisywanym wydarzeniom krytyk i tej perspektywy nie ma i mniej zna materiałów. Wszelkie ujęcia syntetyczne, wszelkie horoskopy, proroctwa czy ogólne bilanse są przedwczesne. Nie wolno mu ryzykować zbyt wiele w podejmowaniu prób oceny całości przełomu, gdyż przełom ten ciągle się dzieje, pisarz jest niejako w fazie gorączkowego eksperymentowania, szukania nowych dróg. Nie wolno jednak także oceniać tych eksperymentów w oderwaniu od poprzednich doświadczeń i dokonań pisarza, gdyż łączy je z tą przeszłością więź niemal przyczynowo-skutkowa.

Starajmy się — oceniając wartość eksperymentu „Uczty Baltazara" — uchwycić najprzód pozytywne i negatywne prawa tej zależności. Wróćmy trochę w przeszłość pisarza, by lepiej zrozumieć jego współczesność.

Powieściowym debiutem Tadeusza Brezy był przedwojenny „Adam Grywałd". Czym była ta powieść? Najogólniej mówiąc: w pomniejszeniu koncepcyjnym i artystycznym kieszonkowym Proustem, przystosowanym do możliwości i potrzeb polskiej inteligencji burżuazyjnej lat międzywojennych. Była to historia ildefonsowego włosa w nosie inteligenta, włosa rozczepionego na czworo. Taka była prawda tamtych czasów: jedni musieli dzielić na czworo zapałkę, drudzy — włos. Breza należał do tych drugich. Jego „Adam Grywałd" jest jednak czymś więcej niż inteligencką pokazówką właściwie bezproblemowej w zakresie konfliktów społecznych, „złożoności wnętrza ludzkiego". Jest także artystycznym uogólnieniem podświadomej być może diagnozy, dotyczącej losów pogrążonego w sobie inteligenta: pójdzie na dno, jeśli nie odrzuci bagażu swoich inteligenckich schorzeń, żywy nurt historii, jak pustą muszlę, wgniecie go w muł czasu, jeśli nie powiąże swojego losu z biegiem historii. Oczywiście, diagnozy tej nie da się wyczytać wprost. W „Adame Grywałdzie" bagaż inteligenckich schorzeń uchodzi jeszcze za bogactwo przeżyć, nurt historii przesłania historia inteligenckiego światka, światek ten stać tylko na historyjki. Odczytanie diagnozy jest raczej zasługą czytelnika, jest zasługą właśnie odczytania, a nie wpisania. Ale byłoby to niemożliwe, gdyby Breza zakłamał swój obraz, gdyby pogmatwał jego proporcje i skrzywił perspektywę. Breza zachował się lojalnie wobec obrazu. Malował go tylko ze złego punktu obserwacyjnego, źle się ustawił wobec obiektu, zbyt często wyrażał — mimo wszystko — swoją łączność z obiektem, zbyt mocno — mimo wszystko — sam tkwił w obrazie.

Wojna i okupacja zdekonspirowała mity, ukazała ludziom ich błędy, wyznaczyła prawidłowy kierunek rozwoju. Bolesna historia oduczyła histerii. Kto miał oczy otwarte i głowy nie chował w piasek — już w pierwszych latach po wyzwoleniu ujrzał rzeczywistość w pełniejszym świetle. Tylko strusie pozostały własnymi papugami.

TADEUSZ Breza nie należy do gatunku pisarzy strusiowatych. To, co w „Adamie Grywałdzie" zawarte było embrionalnie w podświadomości pisarskiej, w „Murach Jerycha" stało się przedmiotem postępowania artysty świadomego swego celu. Z rozlubowanego w dzieleniu włosa na czworo kronikarza psychologicznych perypetii zbłąkanych w sobie inteligentów, staje się Breza oskarżycielem systemu, który oni tworzyli i który ich tworzył, staje się moralistą własnej klasy, jej sędzią, mentorem, dekonspiratorem. Z prokuratorską niemal pasją maluje degrengoladę moralną, prostytucję polityczną dawnych znajomych Grywalda, dawnych znajomych Mosska i nawet znajomych ich dawnego kronikarza.

Tę wymowę „Murów Jerycha" wzmaga „Niebo i ziemia". Jest to powieściowy protest moralisty, którego historia i przełom wewnętrzny powołały na stanowisko prokuratora. Uzbrojony proustowską techniką rozchylania tajemnic ludzkiego wnętrza, wżyty ongiś w klimat swoich niemal klinicznych okazów — był Breza spośród pisarzy powojennych chyba najbardziej predystynowanym do podjęcia prokuratorskiego zadania. Ewolucja wewnętrzna, krystalizacja postawy społecznej uzbroiła go bowiem jednocześnie w umiejętność podnoszenia szczegółowych sytuacji do sytuacji typowych, pozwoliła mu wpisać w dzieło tym razem już zdecydowaną w swym zabarwieniu ideowym diagnozę społeczno-polityczną, pozwoliła mu ująć zjawisko inteligencji burżuazyjnej w kategoriach prawidłowych historycznie i socjologicznie.

Jednocześnie wszakże już druga powojenna książka Tadesza Brezy, to znaczy „Niebo i ziemia" ukazała pewne niebezpieczeństwa, które z biegiem czasu mogły się pogłębić, prowadząc do nieuniknionych wypaczeń lub skostnień.

Oto stawało się coraz wyraźniejsze zwężanie kręgu obserwacji pisarskiej lub raczej poprzestawanie na raz ustalonym kręgu obserwacji, co zresztą przy koniecznej dynamiczności rozwoju na jedno wychodzi. Pisarz wyspecjalizował się niejako w słusznym obnażaniu zgnilizny światka inteligencko-burżuazyjnego. Stawał się powoli niewolnikiem konwencji jakiegoś współczesnego moralitetu powieściowego w proustowskim tego słowa znaczeniu. Konieczny w założeniu intelektualizm i psychologizm przeradzać się począł w hipertrofię, przerosty te zaczęły nagryzać nawet komórkę zdaniową. Breza jako artysta zaczynał być własnym powielaczem, chwilami, jak w świetnych skądinąd „Amorach Tobitki" — własną autosatyrą. Zbyt mocno i zbyt wyłącznie związał się z tematyką międzywojenną. Zbyt ostrożnie poprzestawał tylko na diagnozie. Zbyt entuzjastycznie realizował tylko te zadania. Czasami wyraźnym się zdawało, że pasja prokuratorska stać się może po prostu pasją malarską.

Musiał nadejść moment pisarskiego rozrachunku: z wyłącznością, z przesadnym proustyzmem, z przerostami własnej konwencji komentarza intelektualno-psychologicznego, z inteligenckością tematyki, z jej „międzywojennością", z poprzestawaniem na diagnozie, z własną powielaczowością.

Rozrachunek taki dyktowała czujna samokontrola wewnętrzna i precyzje, wynikające z krystalizacji układu sił zewnętrznych. Wynik takiego rozrachunku musiał wyrazić się w szeregu konkretnych postulatów.

Oto one: czas wejść w tematykę współczesną, czas wkroczyć w sferę pozainteligencką, od diagnozy przejść ku terapii, czas oczyścić język z barokowych złożoności, relację artystyczną uprościć i ukomunikatywnić przez redukcję komentarza intelektualnego i analizy psychologicznej, czas przełamać własną konwencję w imię szukania dróg dla pełni rozwoju pisarskiego.

„Uczta Baltazara" jest próbą realizowania tych postulatów, które wynikają z dotychczasowej analizy rozwoju Tadeusza Brezy i rozwoju stosunków życia społecznego. W „Uczcie Baltazara" pisarz wkracza w tematykę współczesną, obejmuje sferę pozainteligencką, nie poprzestaje na diagnozie, lecz kusi się o terapię, oczyszcza język z barokizmów, redukuje komentarz intelektualny i ogranicza analizę psychologiczną, przełamuje w pewnej mierze samego siebie.

FAKT podjęcia tak niełatwej próby potwierdza powszechną i słuszną opinię o Tadeuszu Brezie jako o pisarzu dużej klasy, dążącym do nadania każdemu ze swych dzieł wysokiej rangi społecznej i artystycznej. Fakt zrealizowania takiej próby podkreślono zaszczytnym przyznaniem „Uczcie Baltazara" jednej z tegorocznych nagród państwowych drugiego stopnia. Zgodzić się każdy musi z tym, że jest to dowodem wielkiej pracy i wielkiej żarliwości pisarskiej wybitnego laureata.

Zastanowić się jednak wypada nad sposobem i wynikami realizowania tak ambitnej próby, jaką jest nagrodzona powieść. Pisarz rozłamał w niej zaklęty krąg tematyki międzywojennej, wyzwolił się z tematyki wyłącznie inteligenckiej, nie poprzestał na diagnozie, zaproponował terapię, dokonał „karczunku baroku", odintelektualizował swoją relację, uakcyjnił ją do maksimum, odpsychologizował do minimum, całkiem niemal się przeobraził — to prawda. Ale — jak? Z jakimi skutkami? Czy zabezpieczył się przed błędem zbytniej akcyjności, zbytniego karczunku baroku, zbytniego odintelektualizowania, zbytnich przeobrażeń?

Pytania te zakreślają koło, w centrum którego tkwi meritum zagadnienia, sedno problemu, główny punkt podstawowy dokonującego się w pisarzu przełomu. Krytyka skłonna jest zawsze wobec takich pytań krygować się i po aptekarsku odważać uncje racji, tak że ostatecznie niewiadomo: tak czy nie?

Odpowiedzmy więc jasno, choćby było to brutalizowaniem złożonej sytuacji: n i e.

Powieść Tadeusza Brezy pt. „Uczta Baltazara" jest utworem szlachetnym w intencjach, ciekawym, a na tle przeciętnych osiągnięć naszej prozy powojennej nawet utworem wybitnym, lecz w rozwoju pisarza, na tle jego osiągnięć i doświadczeń nie jest utworem rozstrzygającym w sposób zwycięski owe trudności, przed którymi pisarz stanął, nie jest utworem przekonującym o prawidłowości rozstrzygnięć, chociaż nikt nie może zakwestionować prawidłowości kierunku w rozstrzyganiu poruszanych przez dzieło kwestii. Mówiąc wprost: książka byłaby przeciętnie dobrą, czy nawet bardzo dobrą książką, gdyby nie była książką Brezy. Bo "Uczta Baltazara", jeśli traktujemy ją „jako taką", jest udaną powieścią sensacyjno-polityczną, opowiadającą o ewolucji zbłąkanego w mętnej apolityczności inteligenta, natomiast jeśli traktujemy ją jako etap ewolucji Brezy, jest wytyczną słusznego w kierunku przełomu, ale jednocześnie błędnego w swych krańcowościach antybrezizmu. Miał wyrwać kąkole, a skosił wraz z nimi łan pszeniczny.

Na tym polega główny błąd "Uczty Baltazara", błąd zbyt buntowniczego zrywania z dobrymi tradycjami, wyrastający z nierozważnej metody słusznego w tendencji rugowania złych tradycji. Breza odintelektualizowany i odpsychologizowany to ktoś nowy, kto obraca się przeciwko Brezie, ktoś kto zagraża Brezie.

Dlatego, doceniając dydaktyczny i polityczny walor „Uczty Baltazara" — trzeba o jej istotnej roli w przeobrażeniach naszej literatury mówić raczej zastrzeżeniami, niż pochwałami, stawiać raczej pytajniki, niż wykrzykniki.

Przyjrzyjmy się przez chwilę bliżej utworowi. Jest to oparty na zasadzie powieści kryminalnej współczesny romans polityczny. Autor uwikłał swego bohatera w ponurą aferę z odszukiwaniem słynnego obrazu Veronesa. W wyłącznie akcyjnym rozwoju tej afery ginie dwóch czarnych typków, dekonspiruje się kilku innych, bohater główny poznaje szkicową panoramę naszego kraju w pierwszych latach powojennych, poznaje także uroczą kobietę, odnajduje obraz, który mu zabiera jeden z czarnych charakterów, by wraz z nim zatonąć, ale okazuje się, że obraz Veronesa nie był obrazem Veronesa, lecz jego kopią.

Ten pomysł fabularny potraktowany jest w sposób wyraźnie konwencjonalny. Nadmierne zawęźlenia podkreślają jego umowność, jego literacką fikcyjność. Andrzej Uriaszewicz wstrząśnięty jest skrytobójczym mordem dokonanym na osobie brata kapitana Birkuta, brat kapitana Birkuta okazuje się narzeczonym panny Klimontówny, która mieszka u ciotek Andrzeja i pomaga mu w znalezieniu posady. Mordercą brata kapitana Birkuta a narzeczonego panny Klimontówny jest Haza, który pomaga Andrzejowi w odnalezieniu obrazu i u którego Andrzej również mieszka. Autor zupełnie świadomie, w każdym razie zupełnie nonszalancko przyjmuje uproszczone w swojej dziwności zawęźlenia sytuacyjne, zgadza się na łatwą koncepcję fabularnego schematu, bo nie to jest dla niego najważniejsze, nie to wyraża istotę utworu.

Najważniejsza jest chyba wpisana w ten schemat fabularny prawda historyczna, teza ideologiczna autora. Główny bohater jest zbłąkanym inteligentem. Afera z obrazem wciąga go w nurt przemiany społecznej naszego kraju. Wypadki i obserwacje, oraz wewnętrzne przeżycia prowadzą go ku właściwym decyzjom ideowym. Traci nędzną kopię Veronesa, ale odzyskuje szczęście człowieka, który zna swoje miejsce w historii, odnajduje w sobie prawo do twórczego uczestnictwa w historii. Czarne charaktery to dywersanci i zdrajcy. Ich udział w aferze z obrazem to dalszy ciąg machinacji utajonych niedobitków en-es-zetowskiego podziemia. Ich przegrana i samobójcze rozstrzygnięcia to wyrok historii na zaślepieńców. Rodzina Uriaszewicza to obraz pleśniejących resztek świata burżuazyjnego. Nowi przyjaciele Andrzeja to przykłady nowego typu ludzi epoki socjalizmu (jak Klimontowicz, Tomczyński, Birkut czy Wienczewski), jego znajomi i krewni jak Kienzl, Stępczyński lub Konrad czy Joanna to egzymplifikacje typowych postaw wśród niezdecydowanej inteligencji burżuazyjnej, sylwetki księży występujących w ramach akcji powieściowej — to synonimy dwóch stanowisk kleru, stanowiska właściwego, poprawnego i stanowiska błędnego, obiektywnie głupiego. Ta podwójna wymowa powieści, ten jej drugi ideologiczny i polityczny plan stanowi o powadze zamierzenia autorskiego, zawiera i wyraża jego istotne tendencje, ukazuje rzeczywistość w kategoriach socjologicznych i historycznych, chce wymierzać artystyczną sprawiedliwość zjawiskom społecznym.

Wpisywanie tego zamierzenia w konwencjonalny schemat powieści sensacyjnej okazało się nieporozumieniem. Sztuczność zawęźleń fabularnych rzuca cień na prawdziwość i trafność tez ideowych, każe całą książkę traktować jakoś „na niby". Ambicja zastąpienia artystycznej argumentacji intelektualnej i psychologicznej akcyjnością i wartkim dzianiem się wydarzeń, ponieważ realizowana jest z przesadnym rygo-

Obraz Boży w człowieku

(Dokończenie ze str. 5)

kim byli, ani, skąd przybywali, ani, dokąd dążyli.

I jest tak nadal mimo całej wielkości późniejszych zdobyczy, mimo wspaniałości dzieł wypełniających historię. Kiedy bada się odpowiedzi, jakie dawał człowiek na pytanie o własną istotę — i nie tylko niektóre, lecz wszystkie, nie tylko odpowiedzi odważne, lecz również pełne rozpaczy, nie tylko szlachetne, lecz również pospolite — wtedy widzi się: nie wiedział, kim jest. Tylko że przyzwyczaił się już tak dalece do swej niewiedzy, że uważał ją za normalną i mieszał właściwe zagadnienie z problematyką natury, którą wiedza krok za krokiem przezwycięża, a on może mimo to jest nadal ze siebie dumny.

Wtedy nastąpiło Objawienie. Dokonało się ono na wąskiej linii dziejów starotestamentowych i dopełniło się w Chrystusie. Ono powiedziało człowiekowi, kim jest, mówiąc mu, kim jest Bóg. Poznanie Boga i poznanie człowieka stały się jednym i obraz odzyskał znowu swój sens.

W Chrystusie podobizna wzniosła się do niepojętej wyżyny, gdyż w Nim obraz człowieka stał się środkiem objawienia w świecie odwiecznego Syna Bożego: „Kto mnie widzi, widzi Ojca". Przez wiarę i chrzest zyskuje człowiek udział w tej tajemnicy. Rodzi się nowy człowiek, „kształtowany według obrazu Chrystusa".

Tłum. Andrzej Odnowa

ryzmem — skazuje książkę na pewien aprioryzm, na operowanie gotowymi postaciami, które są już „dane utworowi" a nie — tworzone przez utwór. Zmienia się w nim tylko Andrzej i tylko Stępczyńska i to nie tyle na zasadzie ustalenia nowego stosunku wobec rzeczywistości, ile na zasadzie ustalania wzajemnych stosunków wobec siebie, z czego dopiero prawem przyczyny i skutku wynika decyzja ostateczna. Decyzja ta u Andrzeja podbudowana jest deklamacyjnym urokiem przemówienia Birkuta oraz inteligenckim szukaniem w rewolucji panaceum na choroby i słabości wewnętrzne człowieka bez swojego miejsca w świecie.

To wszystko sprawia wrażenie naskórkowości, powierzchowności i mimo wielu trafnych spostrzeżeń czy wniosków kwalifikuje się w odbiorze czytelnika raczej jako sztucznie wyretuszowana i sztucznie upozowana galeria w zasadzie prawdziwych typów, niż jako wycinek realistycznie potraktowanego i artystycznie przeżytego fragmentu historii, wpisanej w konstrukcji losów ludzkich.

BREZA jest pisarzem, którego siła polega na umiejętności portretowania ludzi i środowisk, na trafności komentarza i psychologicznej analizy. W „Uczcie Baltazara" spróbował być fotografem, malarzem panoramicznym. Nie wyszło. Mocne partie — to koronkowa robota portrecisty malującego rozkładające się okazy burżuazyjnego świata. Słabe partie — to próba ukazania zagadnień społecznych wprost. Birkut deklamuje, Andrzej inteligencko ulega raczej samemu żywiołowi patosu, niż konkretnemu pięknu pracy robotników portowych. Zabrakło tym sprawom drugiego dna, zabrakło podbudowy intelektualnej i argumentacji psychologicznej. Sama prawidłowość socjologicznego ustawienia zagadnień — to za mało.

Odczuwa się to przy lekturze „Uczty Baltazara" szczególnie mocno. Czuć w niej bowiem pisarza wielkiej miary. Wiele szczegółów, wiele dowcipów, wiele szkiców portretowych — urzeka swą trafnością, siłą, plastyką pisarskiego wyrazu. A w sumie wszystko sztywne, pośpieszne, powierzchowne, konwencjonalnie powiązane, jakieś niedobrezione, nieprzeżyte, fikcyjne.

Ciężko pisać słowa tak twarde. Dziwna to książka. Książka słuszna w swojej tendencji przezwyciężania złych ciągot inteligenckich. Książka którą powinien pisarz napisać i książka, której nie powinien tak napisać.

Jak zaważy ona na pisarstwie Brezy? Ile wyniesie on i literatura polska z tego eksperymentu? Czego nauczy się z niej czytelnik?

Na to pytanie nie można udzielić odpowiedzi. Odpowie na nie przyszłość.

Oceniając w sposób boleśnie surowy książkę tak niełatwo poddającą się jednoznacznemu sądowi, wyrażamy jednocześnie głębokie przekonanie, że Tadeusz Breza potrafi wyciągnąć właściwe wnioski z eksperymentu, który uczynił na jak najsłuszniej — jeśli chodzi o kierunek — wybranej drodze trudnego przełomu.

Nie jest to proroctwo zapatrzone tylko w przyszłości, ale hipoteza oparta na rzeczowym materiale pięknej i bogatej przeszłości pisarza.

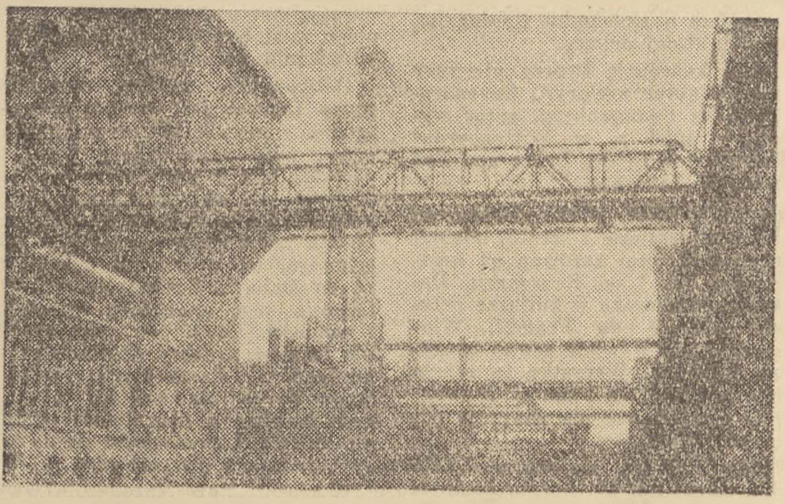
Zygmunt Lichniak

* Tadeusz Breza: „Uczta Baltazara". Czytelnik 1952, str. 398.

Kazimierz MORAWSKI

DROGI STANISŁAWA PAWLAKA

MAŁA, opuszczona wioska Jaroszewice Rychwalskie, położona niedaleko powiatowego miasteczka Konin. Wzdłuż rozjeżdżonej wyboistej drogi rzędy wiejskich chałup, lepszych i gorszych. Czerwonych, murowanych i bardzo wielu drewnianych przysiadających już ze starości do ziemi. Na skraju lasu stała jedna właśnie z owych gorszych, sklecona z desek i podparta drewnianymi balami, mizerna chałupina,



Fragment Zakładów Koksowo-chemicznych im. Bolesława Chrobrego w Wałbrzychu *fot. C.A.F.*

własność rodziny Pawlaków, gospodarujących na 2 ha lichej ziemi.

Rodzina Pawlaków składała się z ośmiu osób, ojca, matki i pięciorga rodzeństwa. Stary Antoni Pawlak był gospodarzem na tej ziemi już z dziada pradziada. Przyzwyczaił się do biedy, do wegetowania. Nie protestował przeciwko takiemu życiu, bo w ogóle w jego głowie nie mieściła się myśl, że można żyć inaczej. Tak żył przecież jego pradziad, dziad i ojciec, skąd więc — myślał — los miałby jemu być bardziej przychylny. I tak wlokły się lata za latami.

Rok 1918 niewiele zmienił w ich życiu. Początkowo zelżały trochę podatki, ale niebawem zaczęto dokręcać śrubę. Rodzina Pawlaków długo wierzyła w obiecywane reformy społeczne. Nie doczekała się ich jednak przed wojną. Pawlakom nędza coraz silniej zaczęła wciskać się za próg chałupy. Potrzeby były coraz większe, bo dzieci stawały się coraz starsze, a dochody wciąż kurczyły się. Ceny na artykuły rolnicze spadały a na przemysłowe rosły. Rozwierały się coraz szerzej sławetne nożyce cen, zmora ówczesnego rolnictwa. To, co zebrał i sprzedał, starczało na podatki i na potrzeby gospodarstwa. Na własne potrzeby nie zostało prawie nic. Ojcu i synowi nie starczało bardzo często na papierosy a zapałkę nieraz przysłowiowo dzielono na cztery części...

Trzeba jeszcze dodać, że brak nawozów sztucznych, które były dostępne tylko dla bogatszych gospodarzy i większych właścicieli ziemskich — powodował stałe pogarszanie się wydajności gleby. Nic więc dziwnego, że zbiory z każdym rokiem stawały się coraz niższe, gdy Pawlak zebrał zboże na jesieni, czy też wykopał kartofle, zmuszony był natychmiast je sprzedać, naturalnie za cenę niezmiernie niską, podczas gdy większy posiadacz przetrzymywał zboże i kartofle do przednówka i wtedy zbierał kokosy, zdzierając od takich właśnie jak Pawlak, którym na przednówku brakowało chleba, 3- lub 4-krotnie wyższą cenę. Kiedy nie było pieniędzy na zapłacenie takiej ceny, trzeba było się obejść bez chleba.

Dosadną ilustracją tej sytuacji niech będą następujące wywody umieszczone w bynajmniej nie rewolucyjnym, chadeckim „Nowym Kurierze":

„Pod względem bogactwa narodowego dochodu społecznego zajmujemy jedno z ostatnich miejsc wśród narodów świata. Ogromny spadek spożycia jest następstwem spadku dochodu szerokich mas pracowniczych i ludności wiejskiej. Szczególnie na wsi nędza przybrała zastraszające rozmiary. Ona to powoduje gwałtowny wzrost śmiertelności w Polsce. Zwłaszcza dzieci źle i niedostatecznie odżywione mrą jak muchy. Jeszcze kilka lat takiej polityki a większość gmin będzie musiała zakładać nowe cmentarze, lub przekopać stare".

*

KTÓREGOŚ dnia, było to w pół roku po wyborach w 1928 r. Pawlakowa wysłała syna Staszka, aby zaniósł obiad siostrze, kopiącej kartofle na polu w pobliskim majątku. Staszek nie pracował nigdzie poza chwilowymi zajęciami, jak pasanie niekiedy krów u bogatszych gospodarzy, lub wywalanie gnoju z obory.

Wziął więc koszyk z naszykowanym przez matkę obiadem i pobiegł przez las do siostry. Po pół godzinie był już jednak z powrotem wraz z niezjedzonym obiadem. Głowę spuścił smętnie i wsunął się niepostrzeżenie do domu. Ręką otarł łzy z oczu i usiadł koło matki, która skrobała akurat kartofle.

— Matka — odezwał się cicho Staszek — dajcie mi spokój, nie noszę więcej żadnych obiadów i w ogóle dość już mam tego przeklętego życia na wsi. Kiedy wyszedłem z lasu, drogę zajechał mi właściciel i kazał czem prędzej zmykać do domu. Powiedział, że Hanka obiad może jeść wieczorem po pracy a nie [illegible]lna. Zwymyślał mnie na dodatek.

[illegible] taj. Dlatego, że w podartych portkach człowiek chodzi, że [illegible] ma w domu, to niegodzien jest ludzkiego traktowania, nie wolno mu być człowiekiem. Słyszałem, że we Francji potrzebują ludzi do pracy. Będę się starał wyjechać tam. Nauczę się może czego, zarobię trochę pieniędzy, to i wam wtedy w domu pomogę. Do szkoły tutaj przecież i tak nie mam za co chodzić.

No, i pojechał. W poszukiwaniu lepszego życia. Pojechał do Francji, pojechał jak wielu Polaków, dla których ojczyzna nie chciała być sprawiedliwa, jak wielu młodych, którym nie dość, że zamykano wszelkie drogi na nauki, do awansu społecznego, do poprawy warunków życia, ale odmawiano we własnej ojczyźnie nawet prawa do zwykłej egzystencji.

Ale czy rzeczywiście znalazł tam te warunki, to życie, którego szukał, które chciał zdobywać? Zaczął pracować w kopalni w miejscowości Mont-Chemin. Zarabiał dziennie tyle, ile kosztowało go średnio utrzymanie. Na zapłacenie drogiego mieszkania i kupno ubrania trzeba było zaoszczędzić na jedzeniu. Zyskał tyle, że mógł tutaj pracować, podczas gdy w kraju byłby bezrobotnym nędzarzem bez żadnych perspektyw poprawy. Ale nawet i to długo nie trwało.

Pewnego dnia, było to na pół roku przed wybuchem wojny z Niemcami, dyrektor kopalni zawołał go do siebie. Pawlak, idąc do dyrektora, przeczuwał o co chodzi. Wiedział, że zbyt na węgiel ciągle się zmniejszał.

— Będzie pan od jutra zwolniony — powiedział sucho i stanowczo dyrektor — tak, że nie było mowy o żadnej dyskusji — nie mam po prostu czym panu zapłacić.

Razem z Pawlakiem wyrzucono na bruk jedną trzecią załogi.

Pawlak zaczął beznadziejną wędrówkę po Francji w poszukiwaniu następnego zajęcia. Nie znalazł go, bo przyszła wojna, która zawiodła go w ręce Gestapo, a później do obozu koncentracyjnego w Niemczech.

*

BYŁ pogodny, jesienny poranek 1947 roku. Na stację w Międzylesiu wtoczył się, sapiąc, długi pociąg. Dworzec był udekorowany biało-czerwonymi flagami. Pawlak jadący pociągiem wraz z grupą Polaków wracających z Niemiec zachodnich z niecierpliwością wyglądał przez okno. Jechał nie bardzo pewny jak go przyjmą w tej nowej Polsce, o której tyle złego nasłuchał się ostatnio i do której z tak wielkimi trudnościami udało mu się wyrwać. Tam bowiem, gdzie dotąd przebywał, nie chciano, aby wracał do Polski. Powiedziano mu, kiedy wsiadał do pociągu, że momentalnie po przyjeździe do kraju znajdzie się w celi więziennej, a potem, jeśli uda mu się wydostać — przymierać będzie głodem na lichej posadce. Na dworcu oczekiwała Polaków delegacja dzieci. Pawlak schodził powoli i nieśmiało ze stopni wagonu. Stawiał pierwsze kroki na polskiej ziemi. Ledwo umilkły dźwięki hymnu narodowego, na szyi Pawlaka uwiesiła się jedna z małych dziewczynek. Gorąco i z całego serca go przywitała. Tak gorąco jak witał go kraj i naród. Trudno było zatrzymać wtedy łzy, które cisnęły się same i nieproszone do oczu. Troszkę to były inne łzy od tych sprzed 15 lat. Tak przywitała go Polska, która kiedyś przed 25 laty żegnała go jako nieproszonego gościa.

*

ROK 1952. Wałbrzych, miasto kominów fabrycznych i szybów kopalnianych, miasto węgla, stali i chemii. Wiecznie szare, zasnute dymem, który tworzy nad nim siny dywan mglelny, z rzadka tylko przepuszczając promienie słońca. Miasto na pozór smutne, bo ciemne, zakopcone i szare, ale gdy zajrzeć głębiej, gdy wniknąć bliżej w jego życie, dostrzega się prężność i twórczy rozmach ludzi świadomych trudów i owocnej walki.

Pełna gryzącego oczy dymu, duża hala fabryczna. Dookoła rzędy rozgrzanych do białości drzwiczek, prowadzących do pieców, w których wypala się węgiel i powstaje koks. Dookoła mnie do połowy rozebrani robotnicy, osmoleni na twarzy i ciele, spoceni, w okularach na oczach. Otwierają grube drzwiczki, z których płynie żar rozpalonego węgla. Od czasu do czasu rozbije się echem po hali czyjeś nawoływanie, doleci zgrzyt stojącego za oknami dźwigu, zagwiżdże lokomotywa, zabierająca z bocznicy przygotowany koks.

Nagle donośny głos z megafonu: „Uwaga, uwaga, cała załoga proszona jest o wzięcie udziału w zebraniu wyborczym do Zakładowego Komitetu Frontu Narodowego, które odbędzie się o godzinie 15-tej w miejscowej świetlicy. Mała przerwa i znowu: Obywatel Pawlak jest proszony do biura Rady Zakładowej". Po chwili spoza jednego pieca wynurza się mała sylwetka krępego robociarza, zdążającego w kierunku wyjścia. Idzie szybko, poprawiając sobie włosy i strzepując pył z pomiętej marynarki.

Tu właśnie w Wałbrzyskich Zakładach Koksowo-Chemicznych im. Bolesława Chrobrego spotkałem się po raz pierwszy ze Stanisławem Pawlakiem, jak się później dowiedziałem, czołowym przodownikiem pracy, znanym nie tylko w Wałbrzychu, ale i na całym Dolnym Śląsku. Teraz nie jest już rzecz jasna młodym człowiekiem, twarz ma pomarszczoną, zmęczoną trudami życia, gdzieniegdzie przebłyśnie mu na skroniach siwy włos, ale w oczach widać zapał, zadowolenie z pracy, mimo iż przecież nie jest ona lekką. Przebiegł parę schodów i zniknął za drzwiami pokoju Rady Zakładowej.

Poszedłem szukać świetlicy. Szukałem długo, bo trudno jest się połapać w tym labiryncie korytarzy, hal i zakamarków fabrycznych. Sala zapełnia się teraz robotnikami.

Obok mnie stanęła grupka rozprawiających o czymś między sobą.

Przysłuchiwałem się im przez chwilę. Mówili o problemach politycznych. Naklejony na tablicy plakat zawierający program wyborczy Frontu Narodowego gromadził wokół wielu czytających. Stojący obok mnie robotnicy dyskutowali przede wszystkim o sprawach im najbliższych. Przewijały się tam w tej rozmowie ich własne wałbrzyskie problemy. Że robudowana będzie sieć kanalizacyjna — brak wody w wielu domach to poważna bolączka tego miasta — że powstaną nowe budynki mieszkalne i szkoły. Ale w tej rozmowie był nie tylko Wałbrzych: poprzez własne miasto dochodzili oni do rozumienia Polski.

Sala tymczasem zaczęła dopełniać się robotnikami, którzy wprost od roboty schodzili się na zebranie. Byli brudni, usmarowani oliwą. Parę minut dzieliło nas jeszcze od rozpoczęcia zebrania, podszedłem więc do siedzącego przy stole Pawlaka i zaczęliśmy rozmawiać.

„I widzicie — mówi się nieraz, że w Polsce dobrze jest tylko ludziom należącym do partii, tak w każdym razie słyszałem zawsze na Zachodzie i wiem, że do dziś tak mówią tam o nas. A ja przyjechałem do Polski jako bezpartyjny i pozostałem bezpartyjnym. Jestem wierzącym katolikiem i przed nikim się z tym nie ukrywam, a mimo to życie urządziłem sobie tak jak chciałem. Zarabiam nieźle, a co najważniejsze w przyszłość patrzę spokojnie i ufnie. Kłamstwo ma jednak zawsze krótkie nogi.

Wiem dlaczego i dla kogo pracuję. Obchodzi mnie przecież to, że powstała MDM, Żerań i Gorzów, że powstaje Nowa Huta, Nowe Tychy i wiele innych miast. Są ludzie mówiący, że katolik, człowiek wierzący w Boga, nie może być aktywny politycznie, że nie może pozytywnie oceniać naszych przeobrażeń społeczno-politycznych dokonujących się w kraju. Ja jednak uważam, że to nie jest zgodne z prawdą. Potrafię godzić moją aktywność w życiu społecznym z sumieniem katolika. Nikt nie zabrania mi czcić Pana Boga i robić to otwarcie. To zaś, że mogłem stać się na powrót człowiekiem, że mogę cieszyć się życiem, że czuję się potrzebny w społeczeństwie, że widzę jasną przyszłość dla moich dzieci — to chyba musi uczynić ze mnie dłużnika wobec Polski Ludowej".

Słyszałem, że Stanisław Pawlak został niedawno wybrany do Okręgowego Komitetu Frontu Narodowego w Wałbrzychu.

Zapytany mówi on o tym po prostu: — „Muszę powiedzieć, że jestem dumny, że właśnie jako bezpartyjny, zostałem wybrany i obdarzony takim zaufaniem przez swoich kolegów. Bo po mojemu, na chłopski rozum, to tak: że jeżeli wszyscy ci, którzy rzeczywiście chcą rozkwitu naszej ojczyzny i jej potęgi i siły, naszego wspólnego dobrobytu, skierują swe wysiłki w jednym kierunku, wtedy będzie lżej i łatwiej nam pokonywać trudności, budować bogatszy kraj i wtedy też wrogom naszego kraju trudniej będzie sabotować naszą pracę, umniejszać jej owoce".

Słowa robotnika Zakładów Koksowo-Chemicznych w Wałbrzychu Stanisława Pawlaka, są słowami, nad którymi nie można się nie zastanowić. Pochodzą one od człowieka, którego droga życia była ciężka i trudna. Nie są rzucane na wiatr.

Pawlak wszedł teraz na prowizoryczną mównicę tłumacząc zebranym cele i zadania Frontu Narodowego. Mówił przekonywająco, szczerze od serca, mówił tak, jak przed chwilą ze mną. Poznał przecież aż za dobrze czasy nędzy i wyzysku ustroju kapitalistycznego w Polsce przedwojennej, i dlatego właśnie jemu najłatwiej jest ocenić istotę i sens naszych przeobrażeń społeczno-politycznych, dostrzec ogrom sukcesów i osiągnięć naszego narodu, rozumieć wagę dzisiejszych dni.



Fragment Zakładów Koksowo-chemicznych im. Bolesława Chrobrego w Wałbrzychu *fot. C.A.F.*

Kalikst MORAWSKI

Savonarola w literaturze powszechnej

POSTAĆ Savonaroli stanowiła i stanowi atrakcyjny temat dla literatury. Rola, jaką odegrał kaznodzieja, reformator obyczajów i przywódca polityczny w jednej osobie, jest znaną i tłumaczy sama przez się zainteresowanie poetów i powieściopisarzy tym nieprzeciętnym człowiekiem. Dużą rolę odgrywał również urok, jaki wywierał Savonarola nietylko na współczesnych lecz i na późniejsze pokolenia dzięki swej głębokiej wierze i bezinteresowności oraz dzięki temu, że uważał się sam i był uznawany przez wielu za proroka.



Fra Bartolommeo-Savonarola

Nie mniejsze znaczenie w tym wypadku ma i epoka. Renesans florencki przedstawia tyle ciekawych aspektów, tyle dynamizmu i malowniczości, że nic dziwnego iż budzi entuzjazm wśród uczonych badaczy oraz literatów. Epoka ta i jej główni przedstawiciele aż proszą się o wszechstronne i gruntowne odmalowanie. Savonarolą, jak już zaznaczyłem, rychło zainteresowali się pisarze. Działalnością polityczną przeora klasztoru św. Marka we Florencji zajmowali się współcześni mu lub niewiele późniejsi autorzy doby renesansu, przeważnie Włosi lub Francuzi.

Głośny historyk końca wieku XV, świadek naoczny większości opisywanych przez niego wypadków włoskich, Francuz Philippe de Commynes w swych „Mémoires" zajmuje się osobą Savonaroli, z którym zetknął się podczas wyprawy króla francuskiego Karola VIII do Włoch. Commynes był człowiekiem ostrożnym i spokojnym. Tym bardziej zasługuje na uwagę uznanie, z jakim wyraża się on o Savonaroli. Podziwia on jego talent oratorski, szczerość i odwagę przekonań. Francuski kronikarz miał głębokie zaufanie do darów proroczych dominikanina florenckiego, którego pytał w momentach krytycznych dla Francuzów czy królowi uda się wrócić szczęśliwie do Francji. Zwraca on uwagę i na to, że wpływ Savonaroli na florentczyków był wielki: „jamais precheur n'eut tan de crédit en cité". Opisując tragiczną śmierć Savonaroli autor wstrzymuje się od oceny czy został on słusznie czy też niesłusznie skazany, podkreśla jednak z naciskiem, że przepowiednie, które tyczyły Karola VIII, sprawdziły się całkowicie.

Obok Commynesa dwaj wybitni pisarze polityczni włoscy: Nicolô Machiavelli (1469 — 1527) oraz Francesco Guicciardini (1483 — 1540) zajmują się działalnością głównie polityczną Savonaroli.

Savonarola wywarł niewątpliwie wpływ na kształtowanie się koncepcji politycznej Machiavella. Ten ostatni różnił się zasadniczo światopoglądem od Savonaroli, którego uważał za bezbronnego proroka: „profeta disarmato", stąd skłonny był raczej oprzeć się na Cezarze Borgii, reprezentującym siłę i zręczność. Machiavelli zarówno jak Savonarola zgadzali się, że żaden ustrój nie może istnieć, jeżeli nie jest oparty o uczciwość i dobre obyczaje, stąd obaj zasadniczo byli przeciwnikami przywilejów politycznych i społecznych. Różnica polegała na tym, że Savonarola, ożywiony głęboką wiarą i moralnością chrześcijańską, wierzył w możność poprawy obyczajów spoganizowanej w dużym stopniu, zwłaszcza o ile chodzi o warstwy przodujące, Florencji, podczas gdy Machiavelli był innego zdania. Bardziej pesymistycznie nastrojony autor „Il Principe" sądził że zepsucie jest zbyt głębokie, i dlatego podkreślał konieczność silnej i bezwzględnej władzy dla utrzymania całości i niepodległości państwa. Charakterystyczne wypowiedzi Machiavella o Savonaroli znajdują się zwłaszcza w wierszowanej kronice: „Decennale secondo".
Również charakterystyczne opinie o Savonaroli znajdujemy w „Istoria d'Italia" oraz w innych pismach Guicciardiniego. Stwierdza on, że w ocenie działalności Savonaroli istnieje rozbieżność. Sam jednak Guicciardini nie wątpi, że Savonarola był człowiekiem dużej wiedzy, że wpływ jego na Florencję był dodatni. Autor wyraża nadzieję, że z biegiem czasu wyjaśni się, kim był właściwie Savonarola. Wstrzymując się od wydania ostatecznej oceny zaznacza jednak, że Savonarola, był albo prawdziwym prorokiem albo człowiekiem wielkim. Skłonny do sceptycyzmu i utylitaryzmu politycznego Guicciardini kierował się intuicją w ocenie wypadków i ludzi, intuicja, którą nazywał „discrezione". Ta właśnie „discrezione" kazała mu widzieć w Savonaroli zjawisko nieprzeciętnej miary. Sąd ten jest tym bardziej charakterystyczny, że Guicciardini reprezentuje pokolenie, które weszło na arenę dziejową po Savonaroli i pozbawione było charakterystycznego dla swoich poprzedników entuzjazmu politycznego i religijnego.

SZEREG współczesnych autorów włoskich zajmowało się osobą Savonaroli. Do najważniejszych należy anonimowa biografia przypisywana Burlamacchiemu: „Vita del beato Ieronimo Savonarola", oraz wzmianki kronikarza Luca Landucci, zawarte w: „Diario fiorentino dal 1450 al 1516". Wymienić tu należy również: „Vita R.P. Fr. Hieronymi Savonarolae" napisaną przez Gioven Francesco Pico della Mirandola, siostrzeńca wielkiego uczonego tegoż nazwiska.

Omawiani wyżej autorzy widzieli w Savonaroli wielkiego człowieka, może nawet obdarzonego zdolnościami jasnowidza czy też proroka. Zgodnie z koncepcją renesansową interesowała ich działalność możliwie jak najbardziej wszechstronna niezwykłej jednostki.

Okres Reformacji przerzuci punkt ciężkości zainteresowań związanych z dominikaninem florenckim gdzie indziej. Protestanci chcieli widzieć w Savonaroli prekursora Lutra, buntownika przeciwko papieżowi. Oczywiście koncepcja ta była fałszywa. Savonarola zwalczał nie papiestwo jako instytucję, lecz niegodnego papieża w osobie Aleksandra VI, nie zamierzał zerwać z Kościołem i jego nauką, przeciwnie podkreślał na każdym kroku swą prawowierność i lojalność w stosunku do Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Stąd naświetlenie protestanckie będzie w dużym stopniu zniekształceniem historycznej postaci Savonaroli.

Jeżeli Renesans polemizował z Savonarolą lub wypowiadał się za nim, względnie wstrzymywał się od wypowiedzenia ostatecznego sądu, to Reformacja tworzyła swego Savonarolę. Początek dał Luter, który w wydaniu swych Psalmów wyraża się z uznaniem o zakonniku florenckim, jako o bratniej duszy.

Podobną koncepcję tworzy pierwszy niemiecki autor życiorysu Savonaroli Cyriakus Spangenberg, autor wydanej w 1556 r. w Wittenberdze „Historia vom Leben, Lehre und Tod Hieronymi Savorarola".

WIEK XVII, wiek klasycyzmu w literaturze i sztuce, odbiegł zainteresowaniami zarówno od średniowiecza jak i od Renasansu. Dominujące stanowsko w kulturze przechodzi obecnie do Francji, Włochy stają się o wiele mniej atrakcyjne i modne. Wszystko to razem wzięte sprawia, że i postać Savonaroli w tym okresie nie znajduje odbicia w literaturze.

Podobnie rzecz się ma w XVIII wieku. Okres ten patrzył na średniowiecze i na chrześcijaństwo z niechęcią, często niepozbawioną lekceważenia. Idealy i postać Savonaroli tym samym nie znajdywały oddźwięku w umysłach i sercach ludzi wychowanych na zasadach Encyklopedii i oświeconego absolutyzmu. Florencja zaś stała się wówczas tylko przedmiotem zainteresowań nielicznych specjalistów lub turystów zwiedzających Włochy.

Ale już pod koniec XVIII wieku zaczyna się rewizja stosunku do przeszłości. We Włoszech wśród koryfeuszy oświecenia i nowych prądów umysłowych było dużo duchownych. W okresie tym wzrasta również zainteresowanie przeszłością narodową i następuje odrodzenie zainteresowań historycznych, do czego przyczynił się w pierwszym rzędzie ks. Lodovico Muratori. Zajęto się na nowo studiami nad historią literatury, a jednocześnie ożywiła się działalność krytyki literackiej.

Autor głośnej dziś jeszcze „Storia della letteratura italiana", ks. Girolamo Tirabeschi, przypomniał Włochom postać zakonnika florenckiego z XV wieku, starając się dać bezstronny i możliwie krytyczny pogląd na jego osobę i działalność. Nie wypowiada się on definitywnie co do tego, czy Savonarola był prorokiem. Podkreśla, że nie podziela zdania tych, którzy uważają Savonarolę za heretyka, fanatyka i oszusta. Lecz dodaje, że nie podziela również zdania tych, którzy uważają go za świętego.

Tirabeschi utorował poniekąd drogę późniejszym badaczom historii Włoch, zachęcając ich do ostrożności w sądach, zwłaszcza, gdy chodzi o tak niezwykłą i trudną do zrozumienia postać, jaką był Savonarola. Obok Tirabeschiego na Savonarolę zwrócili uwagę w tymże okresie Herder w Niemczech, a we Włoszech Muratori, oraz historyk Modest Rastrelli.

WIEK XIX przyniósł nowe kierunki literackie oraz rozwój studiów historycznych. Te ostatnie nie pominęły i osoby Savonaroli. Dzięki całemu szeregowi gruntownych prac postać jego stała się znana i zaczęła nęcić literatów, upatrujących w niej wdzięczny temat poematów epickich, dramatów lub powieści.

Niemiecki uczony Leopold Ranke, jeden z twórców nowoczesnej historii, oraz genewski historyk Sismondi, zwrócili uwagę na znaczenie Savonaroli w dziejach XV wieku. We Włoszech studia nad Savonarolą na początku XIX wieku kontynuowali Vincenzo Barsanti i Guglielmo Bartoli. Zasadnicze prace wyszły w połowie XIX wieku spod pióra Francuza Perrensa i Włocha Pasquale Villari.

Perrens popełnił cały szereg błędów faktycznych, ocena jego nie zawsze jest do przyjęcia w świetle nowszych badań, jednakże książka ta napisana była ładnie, z talentem literackim i przyczyniła się do spopularyzowania Savonaroli wśród szerokich mas czytelników europejskich.

Praca Villariego naukowo niewątpliwie staranniejsza niż praca Perrensa, zawiera sądy, które należy brać ostrożnie (np. Savonarola — człowiek Renesansu), niemniej jednak była dużym krokiem naprzód w tej dziedzinie.

Jednocześnie z opracowaniami naukowymi pojawiły się utwory literackie na temat Savonaroli.

Na pierwsze miejsce wysuwa się poemat, którego autorem jest urodzony na Węgrzech liryk niemiecki pierwszej połowy XIX wieku, Nikolaus Lenau. Poeta ten o dużej skali możliwości i o wielkim przewrażliwieniu nerwowym przechodził przez liczne fazy poglądów religijnych i filozoficznych. Po kryzysie wywołanym zarzuceniem doktryn panteistycznych, Lenau zwrócił się do chrześcijaństwa. Savonarola według niego miał być pionierem moralnego odrodzenia ludzkości.

Odtworzenie postaci Savonaroli przez Lenaua jest naogół wierne i zgodnie z prawdą historyczną. Villari ocenił jego poemat jako pełen poetyckiej siły i prawdy. Poemat podzielony jest na szereg różnej wielkości pieśni, z których każda przedstawia jakiś ważny moment z życia bohatera, od wczesnego dzieciństwa aż do śmierci. Savonarola w ujęciu Lenau'a jest apostołem moralności i wolności. Poeta podkreśla specjalnie te dwa aspekty działalności dominikanina florenckiego, wskutek czego Savonarola nabiera pewnych cech bojownika liberalizmu ubiegłego stulecia. Lenau odnosi się do swego bohatera z pietyzmem.

W pieśni „Boże Narodzenie" zwraca się do niego z prośbą o pobłogosławienie poematu i o ułatwienie należytego zrozumienia tytułowej postaci. Do silnych scen należy spotkanie z Lorenzo il Magnifico w momencie śmierci tego ostatniego. Scena ta odtworzona jest według legendy mówiącej, że Savonarola odmówił niekoronowanemu władcy Florencji rozgrzeszenia, gdyż ten nie zgodził się na przywrócenie wolności ludowi florenckiemu.

W kilkanaście lat później autorka angielska George Eliot wprowadza w powieści „Romola" (1863 r) Savonarolę jako jedną z głównych postaci utworu. Zakonnik florencki występuje tu również jako reformator obyczajów spoganizowanego Odrodzenia. Autorka usuwa w cień Aleksandra VI, na czym traci koncepcja postaci Savonaroli, motywy bowiem jego wystąpień przeciwko papieżowi nie rysują się dostatecznie jasno, co nadaje jego postępowaniu charakter nie zawsze uzasadnionego buntu moralnego przeciwko papieżowi, nie zaś przeciwko osobie zepsutego i niegodnego tiary Aleksandra VI.



Cela Savonaroli w klasztorze San Marco we Florencji

Z drugiej strony autorka uwypukla autorytet moralny przeora dominikanów klasztoru św. Marka przez to, że jego kierownictwu poddaje się Romola, córka humanisty, wychowana w tradycjach i w duchu pogańskim lub, ściślej mówiąc, w atmosferze uwielbienia dla kultury i światopoglądu starożytnych Rzymian i Greków. Romola widzi zło i nędzę otaczającego ją świata i dochodzi do wniosku, że na miano prawdziwie wielkich ludzi zasługują tylko ci, którzy walczą z tymi plagami tak jak Savonarola. Bezinteresowność i głębokie umiłowanie cierpiącej ludzkości oraz wiara w swą misję i jej boskie pochodzenie, oto główne cechy Savonaroli podkreślone w „Romoli".

INNĄ koncepcję postaci Savonaroli dał pisarz francuski Joseph Arthur Gobineau, autor dramatycznej serii obrazów „Renaissance" (1876). I tu Savonarola występuje jako reformator obyczajów, dążący do odrodzenia Kościoła. Jest on przeciwnikiem Renesansu, który utożsamia z niemoralnością świata antycznego. Ma on również ambicje polityczne, lecz są one podporządkowane głównemu celowi, jakim jest reforma obyczajów i podniesienie poziomu moralnego ówczesnego świata. Jest to idealista mierzący ludzi swą miarą i z tego powodu ponosi on klęskę, jako polityk i reformator. Zaraz na początku swej kariery Savonarola wykrzykuje: „Eclairons les peuples guidons-les, menons-les, forçons-les" (Oświecajmy ludy, kierujmy nimi, prowadźmy je, zmuśmy je). Ideałami jego są: Bóg i Ojczyzna. Savonarola u Gobineau występuje jako gorący obrońca wolności Florencji wobec Karola VIII.

Autor pokazuje popularność Savonaroli w momencie powodzenia i zwątpienie ogarniające go w chwilach ciężkich. Gobineau pokazuje dalej niechętny stosunek humanistów do Savonaroli, którego uważali oni za ograniczonego fanatyka. Savonarola pod koniec życia, zaczyna wątpić w słuszność swej misji, obawia się, że popełnił omyłkę wierząc w możliwość poprawy ludzi i dlatego myśli o śmierci jako o wyjściu z trudnej sytuacji. Ostateczną opinię o Savonaroli kładzie Gobineau w usta Machiavella, który twierdzi, że Savonarola żył marzeniami o pokoju, wolności i sprawiedliwości, marzeniami złudnymi. Słowem Gobineau daje nam typ marzyciela oderwanego od rzeczywistości, nie zdolnego do przeprowadzenia swych planów, zakrojonych na szeroką skalę.

O Savonaroli pisało cały szereg autorów mniejszej wagi. Na uwagę zasługuje tendencja pisarzy protestanckich XIX wieku, starających się ponownie zrobić z Savonaroli poprzednika Lutra i buntownika przeciwko papiestwu. Tendencję powyższa reprezentuje między innymi Joseph von Auffenberg w wydanym w 1838 roku dramacie: „Der Prophet von Florenz". Jako odpowiedź katolicką na powyższą interpretację postaci i ideologii Savonaroli mamy cały szereg utworów, z których najważniejszy to powieść Konrada von Bolanden: „Savonarola" (1882).

Problemem oddziaływania Savonaroli na artystów zajmuje się Isolde Kurz w noweli: „Der heilige Sebastian" (1890) podkreślając wpływ zakonnika na jego współczesnych. Bohater noweli, Gaetano, porzuca sztukę i staje się zakonnikiem pod wpływem nieszczęść życiowych i pod wpływem działalności Savonaroli.

(Dokończenie na str. 12)

Adolf BRANALD tłum. Andrzej J. KAMIŃSKI

PRZYJAZD GENERAŁA *)

KSZTAŁT łydki przypomina leutnantowi Rahmke dźwiękową pełnię polifonicznego koncertu g-moll z chromatycznym opracowaniem głównego tematu — radosny smutek, charakterystyczny dla późnych dzieł Mozarta.

I łydka i Mozart mają swój związek z dzisiejszą epoką.

Czyż Schumann nie porównywał Mozarta z uśmiechniętym Jowiszem Praksytelesa? Dzierży wprawdzie pioruny, ale ma tyle wdzięku...

Tak to widok kobiecej nóżki, migającej w nawpół zasłoniętym oknie brunatno-czerwonego wagonu z napisem MITROPA był dla uczuciowego leutnanta Rahmke nie mniej rozkoszny, niż przeżycia mozartowskiej sonaty c-dur, tej ze wspaniałymi, gwałtownymi basami w andante, napisanej dla Róży Cannabich.

Gwałtowny bas kończy się mocnym uderzeniem pięści w rękopis, leżący na biurku komendanta dworca. Brutalny gest, o którym Rahmke wie, że do niego nie pasuje — korespondentowi „Parchimer Anzeiger" nie przystoi bowiem to, co przystało Moltkemu.

Wydaje się jednak, że nie charakter, ale i epoka wytwarza właściwe sobie gesty. A przeżywamy właśnie wielką epokę, mój drogi Rahmke.

Szkoda, piękne spostrzeżenie. Korespondencja z pierwszego zdobytego kraju jest już jednak gotowa:

„Tutaj tedy stoimy. Twarzą w twarz tysiącletniej germańskiej kulturze, tak typowej w swych przejawach, tak szlachetnej i olśniewającej wszystkich, którzy mają to szczęście, że mogą przeżywać największą erę niemieckich dziejów. Jakaż to droga! Jakiż cel! Od marszu przez Koburg aż do zwycięskiego pochodu w głąb czeskich dolin..."

Przeskoczył tutaj parę ustępów, o których wie, że są znakomite. Spotkanie z Horstem. Świt w Berlinie. Dietrich Eckart. Plac Monbijou.

„...stoimy tedy w pierwszym zdobytym kraju. Zdobytym? Nie. W naszym prastarym kraju; albowiem to jest niemiecki dworzec, niemiecka tarcza niemieckiego zegara, niemieckie szyny na niemieckiej ziemi, a nad tym wszystkim niemieckie, praniemieckie niebo".

Leutnant Rahmke, komendant dworca, zsunął złote okulary na koniec nosa, wygładził dłonią rękopis i wyszedł na peron.

Ubrani w czarne płaszcze ludzie Weisshuta przechodzili przez obrotowe drzwi, rozmawiając o codziennych sprawach, nie spuszczając jednak oka z wejścia do saloniku, z okien biura, szatni i kas, obejmując swą czujnością nawet owe puste konwie, które grupa Fabiana złożyła była na rampie.

Przed salonikiem stała warta honorowa i gromada delegatów. Poobtłukiwane ściany, pełne plam koloru ochry, obite zostały czerwonym suknem; w żelaznej konstrukcji stropu tkwiły czerwone chorągiewki ze swastyką.

Między salonikiem i obrotowymi drzwiami stali dobosze z Hitler-Jugend. Wyrostek w krótkich spodenkach, z gołymi kolanami, ustawiał ich, wykrzykiwał krótkie rozkazy i, chciwy pochwał, oglądał się na delegatów.

Stuknęły obcasy, bębenki zawarczały na próbę. Przed dworcem zatrzymała się ciężarówka z żandarmerią polową, a tuż za nią dobrze znany zielony „Horch" majora von Brücknera, pełnomocnika Rzeszy do spraw kolei.

Straż przy wejściu oddaje honory. To wysiada ze swojego Mercedesa doktór Weisshut, kierownik wydziału politycznego SD. Wreszcie — SS-Standartenführer Hartwig. Pełnomocnik von Brückner wyczekuje taktownie, aż mały, gruby Hartwig drobnymi kroczkami przejdzie chodnik i wstąpi na schody dworca. Tutaj już zjawił się Rahmke i składa raport. Świta słucha z poważnymi minami, ale myśli Weisshuta wybiegły już oddawna naprzód. Ku drzwiom, ku oknom i ku szynom dworca.

Pełnomocnik Rzeszy myśli o bombach cuchnących; Hartwig, zatwardziały optymista, o bankiecie w Metropolu.

Weisshut nie doczekał końca raportu; wpada na dworzec i rozstawia ludzi z żandarmerii polowej. Potem sprawdza, czy peron jest całkowicie opróżniony i czy tory są wolne.

Odźwierni w korytarzach pchają jeszcze przed sobą ludzką falę, która u wyjścia nabrzmiewa w obfite, ciemne grono. Ale skoro tylko ludzie zobaczyli żołnierzy, rozbiegli się śpiesznie na wszystkie strony.

Hartwig wchodzi na peron; delegaci stają na baczność. Najwięcej gorliwości wykazują dobosze i staruszkowie z Kameradschaftsbundu.

Pomny wczorajszego tajnego rozkazu, Rahmke zbiera ludzi i rozsyła ich tu i tam — ku parowozowni i w stronę semafora wjazdowego. Należy wszelkimi środkami zapewnić generałowi bezpieczne przybycie.

„Wszystko w porządku, doktorze?" — pyta jowialnie Hartwig Weisshuta, gdy już przebrzmiały twardo rąbane raporty delegatów. Wyraz gładko wygolonej twarzy Weisshuta świadczy o całkowitym porządku w promieniu dwóch kilometrów. Nie, tym razem nie będzie bomb cuchnących, jak wtedy, kiedy przyjechał generalleutnant Geyer von Schweppenburg; tym razem nie dadzą się słyszeć zza muru przeraźliwe gwizdy, jak przed dwoma tygodniami na Dworcu Południowym w chwili przybycia von Brücknera. Tym razem Weisshut odniesie zwycięstwo nad niepoczytalnymi wywrotowcami i prowokatorami — mein Ehrenwort, Herr Standartenführer. Orszak, prowadzony przez Rahmkego, wkracza do biura komendanta dworca.

PRZY obrotowych drzwiach stoi grupka odźwiernych — wiadomo, Bouda, Mikolasek, inspekcyjny Belza.

„Co tego draba tu niesie?" — kręci głową zasuszony Bouda, zawsze najbardziej wygłodzony wśród odźwiernych Dworca Północnego. Sprytny Belza, wie zaraz, co tamten chce usłyszeć:

„Dlaczego by nie miał przyjechać? Przynajmniej się porządnie nażre. U nich tam chuda fara, a tutaj dostanie pięć knaków za piątaka. Po ichniemu serdelki to knaki, a wódka to sznaps".

„Co ty tam wiesz!" — upiera się podejrzliwy Bouda, ale Belza się nie daje:

„Trzeba wiedzieć, co oni sobie myślą i za czym ich nosi".

Hartwig ze świtą stoi zamyślony nad planem sytuacyjnym dworca — a pełnomocnik Rzeszy jeździ kościstym palcem po skrzyżowaniach torów:

„Postaw pan trzech ludzi na moście, Rahmke. Na Południowym strzelali zeszłej nocy, słyszał pan o tym?" Nie czeka na odpowiedź i spogląda spod oka na Hartwiga, wpatrzonego bezmyślnie w plan torów, z którego nic nie rozumie.

„Generalleutnant von Schweppenburg" — ciągnie dalej — „kazał swego czasu opracować jakiś szkic sytuacji. Na tym szkicu Dworzec Północny jest oznaczony czerwono. Strategiczna doniosłość par excellence — wyróżnienie dla pana, Rahmke!"

Co ten major tu właściwie widzi? Parę nędznych torów, szopa dla parowozów, stary dworzec. Gdybyż tu chociaż był jakiś tunel! Tunel przebity przez górę, efektowny otwór, jak Brenner, Simplon, Semmering! Hartwig lubi wielkie przedsięwzięcia. Odwraca się od planu.

„Postaw pan na moście trzech ludzi" — podkreśla von Brückner — „Trasa Anhalcki-Północny będzie miała ważną rolę do odegrania w najbliższym czasie".

Oho! — myśli Hartwig i podryguje na krótkich nóżkach. Warto posłuchać. Mógłby też być ostrożniejszy.

„Dolina czeska"! — Von Brückner zatacza cygarem krąg na zawieszonej nad stołem mapie. — „Mnóstwo ważnych arterii! Uważaj pan, Rahmke!" Zawsze go tak bierze, kiedy stoi przed mapą. Taki już los wielkich strategów. Rahmke stuknięciem obcasów daje wyraz swojemu zainteresowaniu.

„Może to są znane rzeczy, Willi" — to do Hartwiga, z uśmiechem wtajemniczonego — „ale wybacz, ci młodzi tego nie wiedzą. Na transporcie stoi cały plan ofenzywy Brauchitscha. Patrz pan uważnie na wschód, Rahmke. Dostawy wiszą tutaj na cieniutkich włoskach. Od północy bronią ich góry, od południa traktat przyjaźni. Ale będą jeszcze lepiej bronione, kiedy ze stanowisk wyjściowych w Słowacji ruszymy na północ. Tutaj się to urywa!"

Palec zajeżdża pod Tarnopol, a potem przez bagna Prypeci pod Mińsk.



„Szerokie tory. Auge! — mój Rahmke. Główna przeszkoda!"

Hartwig otrząsnął popiół z cygara. Przecież on majaczy! Trzeba zaraz powiedzieć Weisshutowi! Jeżeli dzisiaj zdradza temu żółtodziobowi cały plan ministra Dorpmüllera — to cóż zrobi jutro?

„Inne maszyny, inny tabor — albo inna sieć. Już jest postanowione. Druga ewentualność. Zmienimy sieć, Rahmke!"

Najwyraźniej stracił kontrolę nad tym co mówi. Gest przezwyciężył ostrożność. Zatracony Brückner — w Berlinie mają o nim taką dobrą opinię!

„Specjalne oddziały są wspaniale zgrane. Pan jest muzykalny, Rahmke, szkoda, żeś pan nie widział prób w okolicach Drossen-Radach. Systemem Bergmayera ułoży się dziennie...."

„Za dwadzieścia jedenasta!" Hartwig zdecydował wreszcie i bez oglądania się wychodzi z kancelarii.

Major von Brückner przejeżdża lekkim ruchem przez srebrną czuprynę; przez chwilę nie wie, co ma robić, ale nie chce się wyrzec ostatniego gestu.:

„A kiedy mówię panu, żebyś pan posłał trzech ludzi na most, widzę nie tylko ten most, Rahmke — widzę to, o!" Zatacza krąg wokół Europy.

„Zadzierają łby aż do nieba!" — stwierdza z zawziętością Bouda. — „Popatrz na tego tłustego pawiana! Żeby tak już Pan Bóg dał, żeby im ktoś kości połamał!"

„Jeszcze poczekasz!" Belza nie wierzy w prędkie cuda.

LUDZIE w mundurach gaszą cygara. Grupka cywilów z tyłu milknie. Delegaci stają w szeregach w przyzwoitej odległości od czerwonego chodnika, równają starannie, podciągają opaski i nagle sztywnieją. Doktór Weisshut melduje Hartwigowi, że pociąg specjalny numer siedemnaście przybywa na czas.

Zapłonęły światła.

Panowie wychodzą z saloniku. Dobosze wypręzają się i patrzą przed siebie zgoła nie jak dzieci. Od strony umundurowanego oddziału SA dolatuje kilka ostrych komend, wszystko nieruchomieje, tylko Hartwig kołysze się na skraju czerwonego chodnika.

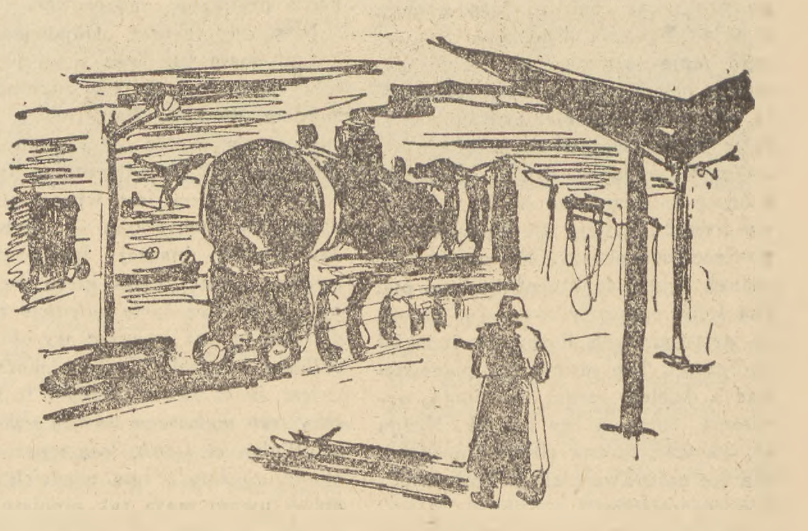
Pociąg specjalny wjeżdża na Dworzec Północny i zatrzymuje się tak, że wagon salonowy staje tuż przed Hartwigiem. Wraz z drzwiami tego wagonu otwierają się szeroko oczy doboszów: „Achtung — schon!" Warczą bębenki. Hartwig gorliwie wypina pierś i występuje naprzód, naprzeciw schodzącego po schodkach wysokiego, barczystego generała.

„Widzisz go?" Bouda trąca łokciem Mikolaska, ale najstarszy odźwierny Dworca Północnego milczy, jak milczałby na jego miejscu każdy, kto uważa historię za ważniejszą od dnia dzisiejszego.

Generał wszedł do saloniku, a Mikolasek widzi w tej chwili kogoś innego, kogo Dworzec Północny gościł nieraz... Ale to było święto, najprawdziwsze święto, nie tak na komendę, jak dzisiaj.

Cisza. Stoi to wszystko, jak słupy — no, bo się boją.

Wtedy toś własnego głosu nie słyszał, tak krzyczeli na jego cześć. Ile razy przyjechał, pół miasta stało naokoło dworca. A dzisiaj na ulicach jak wymiótł. Prawda, że nie było takiej parady, ale za to ile radości! Często się zdarzało, że się zatrzymał na peronie, pogadał z kim, jak naprzykład wtedy z popielarzem: No, jak wam to tu idzie, chłopaki? Wypytał się, pochwalił, ale i zganił, bo lubił porządek i chciał, żeby ludzie też porządek lubili.



A teraz w saloniku jest generał.

„Będziemy musieli wykadzić!" — szepce popielarz do odźwiernego i beczy, zasłaniając się rękawem. Stary osioł! Czy to łzy pomogą na nienawiść?

Samochody oderwały się od chodnika i ruszyły, dobosze odmaszerowali, doktór Weisshut zebrał swoich ludzi, cywile skupili się przy kasach. Znowu turkocą wózki, na rampie zadźwięczały konwie.

Podeptane chorągiewki pokrywają peron. Zanim przyjdą sprzątaczki, czarny znak pomiesza się z czerwienią, a ostre kanty skrzyń poszarpią uroczyste obicia na ścianach. I bardzo tak dobrze. Północny Dworzec nie dla takiej maskarady.

Troskliwy odźwierny, który kiedyś nie odchodził, póki kobiety nie zamiotły porządnie saloniku, nie dba dzisiaj zupełnie o uroczyste rekwizyty.

„Zupełnie jak dwudziestego szóstego września tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt jeden".

Cała grupka zatrzymuje się przed obrotowymi drzwiami. Kiedy indziej słuchaliby jednym uchem. 1891. Dziurawa starzyzna i tyle. Ale dzisiaj nie ma się do czego śpieszyć...

„... zaraz po godzinie szóstej rano zgromadziły się tu osobistości urzędowe. Namiestnik, Franciszek hrabia Thun w wielkim uniformie urzędowym z wielkim krzyżem orderu Leopolda, marszałek krajowy Jerzy z Lobkovic w wielkim ubiorze tajnego radcy..."

Ale ten Mikołajek, ani się nie zająknie!

„... a punktualnie o godzinie ósmej zajechał pociąg dworski, prowadzony osobiście przez inspektora Reinelta. W tym momencie rozległa się komenda dowódcy kompanii honorowej i zabrzmiał hymn austriacki. Na stopniach pierwszych wagonów stali członkowie cesarskiego orszaku, adiutanci hrabia Paar i Bolfrasz. A na krytym tylnym pomoście trzeciego wagonu sama jego apostolska mość w galowym mundurze i generalskim kapeluszu".

„Po co nam to gadasz?" — Uszczypliwy Belza nie może się powstrzymać, ale stary Bouda zna Mikołajka jak swoje pięć palców i broni opowiadającego:

„Zostaw go, dobrze robi, że przypomina. Już to wszystko tutaj było — no i gdzie jest dzisiaj Franc Jozef?"

* Fragment powieści „Dworzec Północny".

Jerzy STADNICKI

SMUTNA DUSZA

M o t t o:

Smutna, smutna, smutna jest dusza ma,
Bo matuś moja nie zrozumiała czego mi trzeba...

(z piosenki żołnierskiej)

Wielce szanowny Panie Doktorze!

Przed paru tygodniami redakcja „Dziś i Jutro" doniosła mi, że otrzymała wypowiedź lekarza, długoletniego praktyka, polemizującą z moją nowelą „Badania dodatkowe". Ogarnęło mnie wówczas zdziwienie, czy można polemizować z nowelą? Nowela, jak powieść pretenduje do udziału w sztuce. Oczywiście zdarzają się — zbyt często — dzieła chybione, których zaliczanie do sztuki zakrawa na ironię. Istnieją złe nowele, złe powieści, złe obrazy. Nie zmienia to jednak faktu, że literatura tzw. piękna (choć często tylko tzw.) — należy do artystycznych dyscyplin ludzkiej twórczości. Nie można zaś polemizować z dziełem sztuki, symfonią, powieścią, obrazem czy nowelą. Można krytykować, można zlekceważyć, można się naigrawać, ale polemizować... Nie rozumiałem.

Wiemy, że w interpretacji sienkiewiczowskiej Chmielnicki jest „zły" a Skrzetuski „dobry". Ale nawet z równie wątpliwą oceną wartości nie śmiałbym polemizować. Bo jak? Ze swego mieszczańskiego punktu widzenia Sienkiewicz ma rację. Tak go uczono w szkole historii. Nie chciałbym za nic w świecie, by mój syn był podobny do Skrzetuskiego, a przecież jako czytelnik czuję jego dobroć i to taką, że aż mnie mdli. A Chmiel to również „zły" z prawdziwego zdarzenia: renegat, megaloman, pijanica. Obaj odmalowani są przepisowo — szkoda mówić. Pozostawałaby ideowa ocena utworu: mógł Sienkiewicz uczynić Chmielnickiego dobrym, a Skrzetuskiego złym, ale wówczas nie byłoby „Ogniem i mieczem". Musimy się zdecydować, czy mamy pretensje do Chmielnickiego, czy do Sienkiewicza. Musimy nasze pretensje zaadresować.

Dziś, gdy lekturę „Odpowiedzi lekarza" mam już poza sobą, pozwolę sobie zauważyć, że nie zupełnie rozumiem, do kogo Pan Doktór adresuje swoją pretensję: czy do bohatera „Badań", czy do mnie; urzędowym adresatem jest wprawdzie bohater, ale domyślnym — chyba ja. Jak bowiem inaczej interpretować zwroty: *„uszczknąłeś nieco medycyny, dotknąłeś życia zaledwie skrzydełkiem, a już ferujesz wyroki... i to całkiem z wysoka"*, albo: *„może opisujesz świat fantastyczny i to wszystko jest wytworem twojej wyobraźni. Wolno ci i tak, lecz wprzód powiedz, abyśmy o tym wiedzieli"*. Podobne uwagi mają tak osobisty charakter, że gdyby Kołtunów istniał naprawdę, to po odpowiedzi Pana Doktora zostałbym publicznie wygwizdany w Kawiarni Artystycznej.

Albowiem, i to jest najważniejszy punkt mojej argumentacji, bohater „Badań" i ich autor nie są ani trochę identyczni. Bohater, musimy go ochrzcić, niech mu będzie Grzegorz, to stażysta, co ukończył nauki w wielkim mieście. Autor zaś żadnych nauk nie ukończył, jest skromnym pracownikiem służby zdrowia. Na ogromnej drabinie jakubowej tej służby, której wierzchołek gubi się hen! gdzieś aż w samej Warszawie, na której Pan, Panie Doktorze zasiada blisko szczytu, autor przycupnął koło sprzątaczek, zwanych u nas salowymi.

Ignacy Krasicki, proszony przez jakąś damę o odmalowanie życia drezdeńskiego high-life'u o *napisanie czegoś o dworach, polityce i królach*" napisał (cytuję z pamięci): *„Królowie są to ludzie bardzo nad innych wyniesieni: patrzą na nas z góry na dół, my znów patrzymy na na nich z dołu do góry, a że najlepiej patrzeć wprost, przeto jedni o drugich nie wiele powiedzieć mogą"*.

Otóż to, Panie Doktorze; na mój świat, na moich kolegów patrzy Pan z góry na dół, ja zaś muszę dobrze naciągać szyję, by dostrzec coś z tego co się dzieje w Pańskim pokoju, w gabinecie lekarza.

Pisze Pan, że dzieli nas różnica pokolenia. Zapewne, ale dzieli nas jeszcze o wiele istotniejsza różnica poziomu społecznego.

Że jednak krytyka jest dozwolona, postanowiłem skorzystać z tego przywileju. Niekiedy portier, salowa, czy laborant dostrzegają pewne niedociągnięcia i pragną je zasygnalizować, tak powstały BADANIA DODATKOWE. Widząc wokół siebie wielu dr Grzegorzy stwierdziłem 2 fakty: 1) że podchodzą oni niewłaściwie do swych zadań i 2) że życie, a w szczególności ustrój, w którym żyjemy, pozwalają im wkroczyć na słuszniejszą drogę.

Kiedy Pan Doktór był w moim wieku ukazała się powieść obyczajowa Józefa Weyssenhoffa pt. *„Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego"*. Autor odmalował w niej filistra typowego dla swej epoki. Książka ta jednak ma o tyle ciekawą historię, że Weyssenhoff uważał podobno swego Podfilipskiego za pewien ideał człowieka i w najpoczciwszej wierze napisał tę powieść. Dopiero gdy krytyka określiła ją jaką *„doskonałą satyrę na współczesność"*, stuknął się palcem w czoło, coś dodał, coś ujął i stworzył satyrę prawdziwą.

Odnoszę wrażenie, że ta anegdota, — nie wiem, czy prawdziwa — ilustruje à rebours nasz wzajemny stosunek: Weyssenhoff napisał serio — czytelnicy wyczytali satyrę. Ja napisałem satyrę — Pan Doktór przeczytał serio.

Przed paru laty wpadła mi w rękę książka, której autora nie pamiętam, pt. *„La Physionomie du Ridicule"*. Wyliczano w niej wszystkie sytuacje i ludzi, którzy ex professo, zawodowo jakby są „ridicule", tzn. po francusku śmieszny, ale z bardziej złośliwym akcentem, niż w polskim wyrazie. Więc „ridicule" są: panna, co się wystroiła na bal, a pietruszkuje cały wieczór, zdradzony mąż, dama po pięćdziesiątce w uwodzicielskim ferworze i w. in. Ja bym dodał do tej enumeracji jedno wielkie „ridicule": gościa, opowiadającego kawał, z którego nikt się nie śmieje.

Niestety jestem takim gościem: opowiedziałem kawał, a czytelnicy płaczą. Napisałem „satyrę", a Pan Doktór wziął ją serio. Trudno. Nie pierwszy raz mi się zdarza napisać coś w najlepszej intencji i spotkać się z zupełnym niezrozumieniem. Można o mnie powiedzieć, że jestem najlepszym laborantem wśród grafomanów i najlepszym grafomanem wśród laborantów.

Ale, skoro się już człek wygłupił, nie trzeba się wstydzić powiedzieć: zbłądziłem. Trzeba uczynić rzecz nad wyraz „ridicule": wyjaśnić opowiedziany kawał. A zatem, jak się rzekło, Dr. Grzegorz — to nie ja. Co więcej: ja nie pochwalam Dr. Grzegorza, ja go krytykuję. Oskarżam go o niesumienność w pracy zawodowej, nie tak rażącą, jak u Ceśka, ale niewątpliwą (scena z prześwietleniem dziecka, wykręcanie się od wizyt domowych i in.) Oskarżam o to, co mu Pan Doktór słusznie wytyka, o lekceważący stosunek do pacjentów, wyrażający się w nazywaniu ich „typami", w ustawicznym ruganiu, w wykrzyknikach w rodzaju: *„no idź-że już pani!"* Oskarżam go o smarkatą megalomanię, którą i Pan Doktór dostrzega, o to, że mu się zdaje, że jest pępkiem miasteczka. Oskarżam go — znów z Panem Doktorem — o pogardę dla 8-tysięcznego Kołtunowa, który nazwałem Kołtunowem, by jeszcze podkreślić niewłaściwy stosunek do środowiska, Grzegorza, nie mój. Byłbym skłonny chłopca rozgrzeszyć z dwu zarzutów Pana Doktora: 1) scena w pociągu, która nasuwa mu zupełnie właściwe refleksje, że *„dlaczego nie ma ośrodków specjalistycznych"* i 2) scena przy łóżku konającej, w której myśli Grzegorza nie są może pozbawione pewnej humanistycznej głębi, jego zaś postępowanie jest na pewno sumienne, powiedziałbym nawet: wyjątkowo, jak na Grzegorza sumienne. Ale to są detale; w zasadzie oskarżam go o wszystko, o co go Pan Doktór oskarża.

Ale, powie Pan Doktór, dowody, młody przyjacielu, dowody! Czy nie powtarzasz tricku Weyssenhoffa, czy pouczony przeze mnie nie usiłujesz naprędce wykpić się tanim kosztem z postawionych zarzutów? Nie wierzę ci!

Mógłbym Panu Doktorowi dać słowo honoru, ale... kimże ja jestem? Mógłbym dalej użyć argumentu, że gdyby moja nowela miała istotnie ten sens, jaki jej Pan Doktór przypisuje, to jest rzeczą mało prawdopodobną, by ją „Dziś i Jutro" wydrukowało.

Użyję jednak innego argumentu. Postaram się dowieść, że Dr Grzegorz przechodzi ewolucję. W tej ewolucji nie doprowadzam go do nawrócenia, ponieważ nie cierpię beletrystyki z konwertyzmem. Nawet Sienkiewicz, spec od konwertyzmu zostawił w Kmicicu nawróconym coś z oszmiańskiego wilka.

Refren: *„Nie chcę być Judymem"* łagodzi się stopniowo na końcowe *„Nie chciałbym być Judymem"*. Dr. Grzegorz przybywa do Kołtunowa nastawiony zdecydowanie negatywnie. Wszystko, na co go stać, to wstępne postanowienie, by pozostać uczciwym. Cesiek jest mu znacznie bliższy duchowo od Będkiewicza. Nie dość na tym: Grzegorz potępia „system", który jego, niedoświadczonego absolwenta wyrzuca poza burtę klinik. Dlaczego? — Bo Grzegorz — przeciwnie jak Pan Doktór jest synem środowiska mieszczańskiego. Ojciec Grzegorza — to lekarz z Krakowa, a może inżynier z Warszawy. Grzegorz, jak może Pan Doktór zauważył, nie jest zbyt mądry. Natomiast wyniósł z domu dobrą kindersztubę i pakiet burżuazyjnych zasad. Grzegorz socjalistą nie jest, nie będzie i być nie może. Ale wie, że lekarz ma leczyć, nie kantować, że *„nigdy nie kłamie"*. Grzegorz jako człowiek honoru nie wstrzyknie „akwydestylaty" w miejsce glukozy, co mu nie przeszkadza utyskiwać na „system". na to, że on nie może, jak jego ojciec, czy wuj, być żelaznym studentem, lub zawadzać na klinice uniwersyteckiej.

Jednakże „porządność" Grzegorza w zestawieniu z wymogami życia każe mu się zdobyć na minimum obiektywizmu. Każe dostrzec, że jednak i na prowincji można się czegoś nauczyć. 2/XI stwierdza zdumiony, że *„niezły z niego konował"* że *„diagnozy naogół mu się sprawdzają"* i konkluduje w zadumie: *„nie wiem, czy klinika by mi to dała, przecież byłbym pozbawiony inicjatywy"*.

Grzegorz dalej dostrzega odłogi prowincji. Widzi, że brak jest laboratorium, autobusów, a nadewszystko — ludzi. Że trudno wymagać od pacjentów, by przynosili wyniki badań dodatkowych, kiedy *„ginekolog przyjmuje od 16—18 we wszystkie dni prócz czwartków, ale nie pacjentów z ul. Nowotki, Mostowej i Świerczewskiego, bo tamci...! itd.* Kiedy *„do nerwowego doktora trzeba jechać 2 godziny furmonką i godzinę pociągiem, by się dowiedzieć, że urzęduje do 13-ej, a teraz jest 15-a"*.

Grzegorz to widzi i volens nolens konstatuje słuszność hasła: Lekarzy — na prowincję! Ale opory wewnętrzne są zbyt silne. Byt nadal określa świadomość i Grzegorz stwierdza czymprędzej i nie troszcząc się o logikę: *„Ale to jest antytezą moich zapatrywań!"*

Końcowy obrazek, który tak bardzo Pana Doktora zirytował, miał — w nieudolnych zamierzeniach autora — potwierdzać ów rozwój mentalności Grzegorza. Przyjeżdża do dziury, zabitej deskami i musi stwierdzić swoją zupełną niemoc wobec prymitywu warunków ludzkiego bytowania. Jak leczyć, kiedy nie ma ani komunikacji, ani lekarzy, ani środków zdrowia, ani perhydrolu, ani... nożyczek! Jedno z dwojga: albo Pan Doktór pomawia mnie o akceptację tego stanu rzeczy, czyli świadome i przewrotne szkodnictwo pisarskie, albo się zgodzi, że chciałem pokazać... jak być nie powinno. Tertium non datur. Czy to nie jasne? Mnie się naprawdę wydawało, że jasne.

Albowiem w „BADANIACH DODATKOWYCH" mniej chodziło o przemiany wewnętrzne jakiegoś Grzegorza, który, zapewne, przechodzi swoją ewolucję, ale prawdopodobnie nie prędko zmądrzeje. Chodziło głównie o nowelę z terenu pracy, o zwrócenie, na drodze beletrystycznej uwagi, że — nie wszystko jest jak się należy. Bo, Panie Doktorze, naprawdę były takie wypadki, że pogotowie nie miało nożyczek, ani latarki, a tylko 200 g. waty, 200 g. perhydrolu, 3 luminale, 5 sulfathiasoli i morfinę (mniejsza o to, gdzie tak było) Naturalnie, że to są wypadki sporadyczne, karykaturalne, ale choćby się trafił 1 na 1000 — to i tak trzeba o tym krzyczeć!

I prawdą jest, że w wielu prowincjonalnych i nie prowincjonalnych ośrodkach zdrowia ogonki do przychodni są tak długie, że sprawdza się wisielczy humor Ceśka: *„Nie potrzeba się litować nad naszymi pacjentami, bo ktoś, co wytrzymuje leczenie Ubezpieczalni — nie może być ciężko chory"*. (Naturalnie to jest znowu głupi dowcip. Naprawdę — trzeba się litować nad każdym cierpiącym).

To wszystko chciałem wypowiedzieć, wyszlochać, wykrzyczeć. Ale, że uczyniłem to źle, więc Pan Doktór zrozumiał, że ja się solidaryzuję z Grzegorzem, że nawet nim jestem. Traktuję to jako ostrzeżenie na przyszłość, ale,... jak się ustrzec? Trzebaby chyba dodać komentarz chodzący na własnych nogach. Trudno będzie.

Ale się postaram. Tymczasem bardzo dziękuję Panu Doktorowi za Jego wskazówki i łączę wyrazy najgłębszego szacunku.

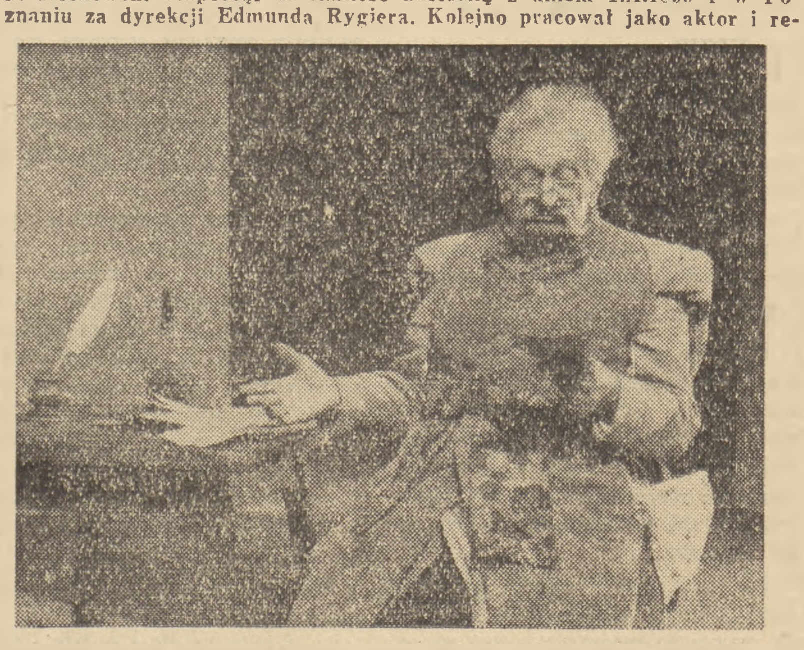
Jerzy Stadnicki
laborant

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Odszedł nestor sceny poznańskiej

W dn. 5 września b.r. zmarł w Poznaniu w wieku lat 72 Zygmunt Noskowski, utalentowany aktor i pedagog, wychowawca kilku pokoleń pracowników sceny polskiej.

Po ukończeniu szkół dramatycznych w Warszawie i Krakowie ś†p Z. Noskowski rozpoczął działalność aktorską z dniem 1.X.1899 r w Poznaniu za dyrekcji Edmunda Rygiera. Kolejno pracował jako aktor i re-



Ś†p. Zygmunt Noskowski w roli Dyndalskiego („Zemsta" A. Fredry w Państwowym Teatrze Polskim w Poznaniu 1951 r.)
fot. Z. Maksymowicz

żyser we wszystkich większych ośrodkach teatralnych kraju, osiągając wybitny poziom scenicznego artyzmu. W sezonie 1923 — 24 prowadził teatr łódzki. Przez 40 lat z górą przejawiał również żywą działalność pedagogiczną, kierując szkołami dramatycznymi w Łodzi i w Poznaniu. Przez szereg lat przed wojną ostatnią, oraz po wojnie prowadził lektorat wymowy na Uniwersytecie Poznańskim.

W swym repertuarze zmarły liczył ponad 700 ról, w tym znaczna część pozycji z wielkiego klasycznego repertuaru polskiego i światowego. Dwukrotnie otrzymał złoty krzyż zasługi. Do końca życia czynny w zespole Państwowego Teatru Polskiego w Poznaniu, utrwalił się ostatnio szczególnie silnie w pamięci publiczności rolą Dyndalskiego w zeszłorocznym jubileuszowym przedstawieniu „Zemsty" z okazji 75-lecia Teatru Polskiego w Poznaniu, oraz ostatnią swą rolą — sędziego w „Krotofili o Mistrzu Pathelin".

Zgon artysty nastąpił na krótko przed przygotowywanym uroczystym jubileuszem przekroczonego półwiecza niestrudzonej działalności teatralnej.

Ś†p. Zygmunt Noskowski osierocił nie tylko rodzinę i rekrutujący się w znacznej mierze z jego wychowanków zespół teatrów poznańskich, lecz również szerokie rzesze przywiązanej doń gorąco publiczności teatralnej.

Zmarły był synem wybitnego kompozytora polskiego, Zygmunta Noskowskiego oraz bratem krytyka literackiego i współzałożyciela krakowskiego „Zielonego Balonika", Witolda.

L.

Ryszard MICHALSKI

DWA SPOTKANIA WE FROMBORKU

STANĘŁO więc ostatecznie na tym, że Frombork. Po męczącej podróży dotarłem do tej mieściny, której zrujnowane w dziewięćdziesięciu kilku procentach ulice w niczym nie przypominają dawnej roli tego organizacyjnego i duchowego ośrodka warmijskiego katolicyzmu i czasów świetności grodu. Wybrałem się do Fromborka na dwa spotkania. Każde z nich napawało mnie radosnymi nadziejami. I okazało się, że te dwa spotkania wygrałem. Wygrałem spotkanie z historią Grodu Naszej Pani (Stare dokumenty określają Frombork mianem: Castrum Dominae Nostrae) i święciłem triumfy w spotkaniu mojej młodości z radosną, rozśpiewaną i opaloną sierpniowym słońcem młodością innych. Trudno na Warmii znaleźć bardziej szczęśliwe miejsce dla tych podwójnych spotkań, jak właśnie we Fromborku.

Przed wyjazdem zanotowałem w pamięci kilka faktów historycznych mających być rozczynem dla mojego



Frombork — Widok ogólny *Fot. C.A.F.*

spotkania z zamglonymi średniowieczną przeszłością dziejami siedziby biskupów warmijskich. Ustaliwszy okrągłym podkreśleniem na mapie położenie Fromborka nad Zalewem Świeżym utworzonym przez Morze Bałtyckie, wpisałem w mój notes podręczny rzymską trzynastkę, jako wiek założenia miasta, a imię Henryka I, by pamiętać, że to właśnie on przeniósł z końcem mojej rzymskiej trzynastki stolicę biskupią z Braniewa do Fromborka, nadając nowozałożonemu grodowi prawa miejskie i sprowadzając doń ludzi handlu i rzemiosła z Lubeki.

Po przyjeździe do Fromborka nabrały rumieńców życia nazwiska wielce dla grodu zasłużone, a i dla kultury polskiej nieobojętne: Stanisława Hozjusza, Marcina Kromera, Jana Stefana Wydżgi, Michała Radziejowskiego, Krzysztofa Szembeka, Adama Stanisława Grabowskiego, czy wreszcie sławnego pisarza epoki stanisławowskiej Ignacego Krasickiego. Co więcej w bliższym kontakcie z miasteczkiem (mieszkańców około 800.) i jego zabytkami wyczułem rosnącą z każdym dniem sympatię do Żupny, która przyjąwszy chrzest, swój drewniany zamek, Pazłuki, ofiarowała pierwszemu biskupowi warmijskiemu, Anzelmowi, by ten stanął u źródeł historii pięknej katedry fromborskiej. Od tego czasu aż po dzień dzisiejszy snuje się ciekawa historia grodu w cieniu majestatycznej zieleni okalającej Frombork i jego centrum — wzgórze katedralne. Nie ominęli miasta słudzy Marsa, a nie Marii Panny, której imię zbrodniczo nadużyli — Krzyżacy, gdy w roku 1454 pod komturem elbląskim Henrykiem Reuss von Plauenem przynieśli miast prawa miłości — ogień i miecz. Drugi raz miasto spalili Szwedzi podczas inwazji Gustawa Adolfa w latach 1626—29, nie tylko niosąc śmierć żywym, ale i zbezczeszczenie zmarłym pochowanym w podziemiach katedry.

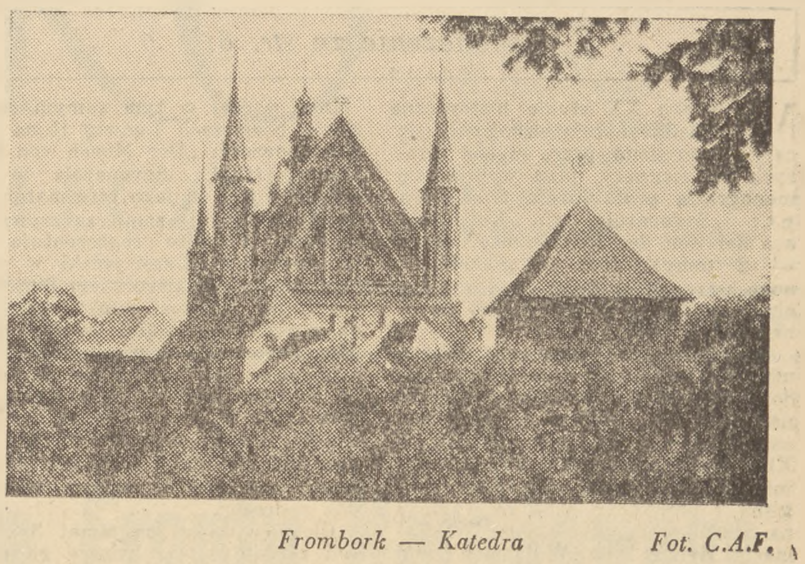
Lata 1463 — 1772 to okres, w którym Warmia będąca udzielnym księstwem biskupim jest pod niepodzielnym zwierzchnictwem Polski, a sam Frombork przez ścisły związek z Koroną podnosi się do znaczenia poważnego ośrodka kultury na Warmii. Wielką tragedią dla Fromborka było wcielenie Warmii do Prus w czasie pierwszego rozbioru Polski. Mimo, iż Prusacy posługiwali się nie rzadko fałszerstwem i starali się germanizować wszelkie przejawy życia Warmii, to przecież skutków zamierzonych nie osiągnęli.

Kiedy się zwiedza katedrę fromborską, narzuca się wprost spontanicznie myśl, że niemiecki po niej przewodnik, w okresie wcielenia Warmii do Prus, miał nie byle zadanie, by znaleźć w niej potwierdzenie dla swych germanizatorskich tez. Tu prawie każde epitafium opiewa na polskie nazwisko. A postacie polskiej historii: Mieszka I i Dąbrówki, Jana Sobieskiego, czy, dla przedziwnej przekory ludzkiej, jako anioł ka przedstawionej Marysieńki — są świadectwem dobitnym polskiej kultury tych ziem. Jest ona tu często podkreślona piękniej, niż w Polsce centralnej, gdy maluje się białoamarantowymi wstęgami hełmu św. Jerzego z obrazu barokowego ołtarza z 1693 roku kaplicy polskiej.

OSTATNIM słowem, ale i największym, złączonym z Fromborkiem i Polską jest znane całemu światu, imię kanonika kapituły warmijskiej — Mikołaja KOPERNIKA. Życiem i odkryciami poczynionymi przez genialnego astronoma właśnie we Fromborku — Castrum Dominae Nostrae — urasta ten gród do znaczenia duchowej stolicy Ziemi Warmijskiej.

To tu lepiej, jak gdzie indziej rozumie się naszą polską rację stanu konsolidującą naród przeciwko niemieckiemu rewizjonizmowi, który ukrywa chęć zaboru polskiego Zachodu pod kłamliwymi frazesami obrony chrześcijańskiej cywilizacji, tak, jak ongiś Krzyżacy ukrywali zbrodnicze miecze pod zakonnymi płaszczami z krzyżem. To właśnie w tym miasteczku, które przechodząc w czasie operacji ostatniej wojny siedmiokroć z rąk do rąk, rozciąga się w śmiertelnym skurczu zgliszcz naokoło wzgórza katedralnego — wołamy głosem doświadczenia i mocy; nigdy więcej wojny. Głos ten jest świętym przekonaniem wszystkich ludzi. Wszystkich, którzy ceniąc pracę i pokojowe budownictwo nie pozwolą jej sobie przerywać.

W XVIII wieku, gdy prałaci i kanonicy kapituły warmijskiej z inicjatywy biskupa Grabowskiego wystawili w katedrze epitafium Mikołajowi Kopernikowi — choć później, niż inni, dali przecież wyraz szlachetnego uznania wielkiemu dziełu tego męża. Poniżej nagrobka wnet po wyzwoleniu Fromborka, bo jeszcze tego samego 1945 roku Rząd R.P. umieszczając pamiątkową, odlaną w brązie gałąź palmową z liśćmi laurowymi, nie tylko schylił czoła przed wielkim rodakiem, ale też wskazał na przyszłe laury, którymi ozdobi każdego, od majstra-racjonalizatora po naukowca-wynalazcę — kto pracę dla pokoju z rzetelną wiedzą łączyć będzie. Moje spotkanie z historią Fromborka zakończyłem w muzeum,



Frombork — Katedra *Fot. C.A.F.*

które powstało w roku 1948 z inicjatywy Prezydenta R.P. Bolesława Bieruta, a poświęcone zostało genialnemu astronomowi.

Jeśli pierwsze spotkanie we Fromborku napawa zwiedzającego dumą, iż jest Polakiem, ale dumą przeszłości narodowej — to drugie radosnym gwarem młodzieży nakazuje wierzyć w rosnące siły przyszłości. W dawnych gmachach biskupich obozują kursy sportowe młodzieży Katolickiego Uniwersytetu z Lublina. Około czterdziestu studentów i studentek z KUL-u na dwutygodniowym turnusie odpoczywając po znojnym roku akademickim poświęca się tu treningom najróżnorodniejszych konkurencji sportowych. Po krótkiej gimnastyce porannej poświęconej zaprawie do lekkoatletyki terenowej — apel. W czasie apelu Kierownik Kursu kol. Kruszewski podając szczegółowy plan zajęć na dany dzień — jego dokładne wykonanie poleca słowami: „Zdyscyplinowaniem, rzetelnym przygotowaniem się do zdobycia odznaki SPO, sumiennym udziałem w pracy społecznej przy żniwach w PGRze, socjalistyczną postawą wobec kolegów — dajmy konkretny wyraz naszemu stosunkowi do Polski Ludowej". Kiedy wieczorem idziemy cienistą aleją koło katedry, kol. Kruszewski, choć znużony nieco pracą, jest pełen radości. „Widzicie Kolego — powiada — młodzież kulowska nie jest już enklawą w stosunku do całej młodzieży studiującej na wyższych uczelniach naszego ludowego państwa. I jeśli osobistą postawą udaje mi się pokazać, że katolicyzm nie stoi na przeszkodzie, by być szczerym zwolennikiem i uczestnikiem budującego się u nas socjalizmu, to jestem chętny wskazać na to i moim sportowym wychowankom.

Gdy po tygodniu opuszczam Frombork, wsiadając do PKS-u na Gdańsk, słyszę dolatującą mnie pieśń „Budujemy nowy dom", przygotowywaną na zbliżające się ognisko. Te dwa piękne spotkania: z historią i młodością, z postępową przeszłością narodową i z współczesną pieśnią o nowej Warszawie — dają poczucie siły i radości pokoju, w którym hartuje się nasz dzień powszedni.

Ryszard Michalski

Szkoła politycznego jątrzenia

(Dokończenie ze str. 2)

organizowanym teraz w całych Niemczech zachodnich Tag der **Heimat**, dalej w szczególności radośnie propaguje się pierwszy kongres związkowy zjednoczonych ziomków wschodnio-niemieckich, donosząc z niekłamanym zadowoleniem swym czytelnikom, że przyśpieszy on osiągnięcie jedności organizacyjnej przesiedleńców.

Ale życie przesiedlonych wymyka się poza ramy organizacyjne ideologicznych i politycznych zamierzeń rewizjonistów. Potrzeby bieżące dnia mają także swoje prawa. I to rewizjoniści uwzględnili w swym programie, a **Schlesische Rundschau** w specjalnym znowu dziale podaje sprawozdania, zawsze pod tym samym tytułem **Die Schlesier im Westen**. W imieniu rewizjonistów **Schlesische Rundschau** woła głośno i krzykliwie o poprawę warunków bytowania przesiedlonych. Jakkolwiek akcja ta układa się w jedną wielką sprzeczność — boć oni uniemożliwiają przesiedleńcom przejście ze stanu tymczasowości do normalnego życia — **Schlesische Rundschau** tego nie widzi, donosząc z radością swym czytelnikom, że zatwierdzona została **Magna Charta** przesiedleńców, że Bundesrat uchwalił właśnie ustawę związkową dla przesiedleńców.

Cała społeczna podbudowa aparatu organizacyjnego przesiedlonych ma zresztą swą państwową nadbudowę w ministerstwie dla spraw przesiedleńców prowadzonym przez dr. Lukaschka. Ministerstwo to jest oczywiście oczkiem w głowie rewizjonistów i **Schlesische Rundschau**.

HEIMATKUNDE I NAUKA CZYLI PROPAGANDA

NA tak skombinowanych fundamentach można dalej rozbudowywać akcję prasową i ją pogłębiać.

Wyrazem tego są próby skupienia świata naukowego śląskich przesiedleńców w jeden ośrodek. Chodzi o wschodnio-niemiecki uniwersytet, który by nawiązał do „dobrej" tradycji niemieckiej nauki na Śląsku. Potem chodzi o „**Heimatkunde für Heimatlose**" aby wszyscy dobrze znali swój kraj.

Na odcinku oświaty, popularyzacji wiedzy o Śląsku i w literaturze wszystko jest **Schlesien, schlesich, schlesischer**. Więc drukowana powieść „**Franciska Lauterbach**" omawia **ein Frauenleben in Schlesien**, więc pisane w niemieckiej gwarze śląskiej artykuły i felietony oczywiście mają za temat tylko Śląsk. Także śląski jest humor, zagadki, powiastki itp. Dla kontynuowania tradycji, folkloru, obyczajów, muzyki wydano specjalny **Kleiner schlesischer Hausschatz**. I wreszcie, aby wszyscy wiedzieli co się „na Śląsku" dzieje prowadzi się także systematycznie jeszcze jeden dział, a mianowicie: „Ze śląskiego życia kulturalnego".

Młodzież przesiedlonych ma własne szkolnictwo, o dzieciach także nie zapomniano. Jest więc dobra okazja cały ten system literatury, i wiedzy o Śląsku wprowadzić w serca i umysły młodego pokolenia, zwłaszcza, że tworzy się nowe szkoły i internaty specjalnie dla przesiedleńców.

Te akcje **Heimatkunde** uzupełnia wreszcie propaganda bezpośrednia. Apelami, hasłami, odezwami pragnie się wprost oddziaływać na czytelnika. Pismo popularyzuje w szczególności programy radiowe, prowadzące przemyślaną i zajadłą kampanię rewizjonistyczną

ŻYCIE TOWARZYSKIE I OSOBISTE

REWIZJONIŚCI w obawie o asymilację przesiedlonych obejmują akcją swą tak życie towarzyskie jak osobiste przesiedlonych. Dla tych celów w piśmie prowadzi się znowu stałe dalsze działy. Pierwsze miejsce należy się tutaj Niemkom ze **Schlesien**, którym poświęca się specjalny dział.

Dalszym przejawem wiązania życia prywatnego z polityką jest organizacja życia towarzyskiego przesiedlonych. Dowiadujemy się z **Schlesiche Rundschau** jak **Schlesier feiern ihren Fasching** — Ślązacy urządzają swoje zabawy, że odbył się karnawał śląsko-nadreński w Kolonii, że mają miejsce spotkania towarzyskie **mit Pfannkuchen und Bohnenkaffee**. Pragnąc sprawić by **Schlesische Rundschau** była nieodłączną towarzyszką życia przesiedleńców prowadzi się także specjalne rubryki tego typu jak np. **Kriegsgefangene Schlesier suchen ihre Familien**; dalej śmieszna, prawdziwie mieszczańska rubryka **Wir gratulieren** (ale i ona spełnia swoje zadanie), wreszcie: **Unsere Toten**. Na tym odcinku pracy jedna rubryka jest szczególnie dobrze pomyślana: **Schlesischer Heimatsmarkt**. W rubryce tej są oferty matrymonialne, poszukiwania znajomości towarzyskich itp.

Wydawać by się mogło, że tego rodzaju relacje są niepoważne. Kiedy jednak zestawić tę, powiedzmy, „małą politykę" z akcją polityczną i prasową, stwierdzić trzeba, że **Schlesische Rundschau** dobrze spełnia swą złą robotę.

NIEZAMIERZONE OMYŁKI

W Wałbrzychu, jak w każdym przemysłowym ośrodku, gdzie się znajdują kopalnie, mamy orkiestrę górników. Ma ona jednak swego konkurenta... w Monachium, gdzie „**wałbrzyska orkiestra górnicza koncertuje w czasie złotu Ślązaków na Placu Królewskim**" — Uprawianie polityki fikcji z konieczności musi przybrać ostatecznie i taki wykaz. W fikcji jest wszystko możliwe, nawet aneksja na swój użytek tego, co się chciało zniszczyć, mianowicie polskości. Spójrzmy na jedną tylko zewnętrzną stronę akcji rewizjonistów, by choć trochę to zjawisko uwypuklić: fotografem **Schlesiche Rundschau** jest Janicke, dwaj przyjaciele, których widzimy, to Wokuske i Wyczisko, zmarły śląski malarz to Johan Drobek, a inny to Franz Sikora. W cyklu **Auch sie waren Schlesier** jest także Daniel Czepko, a zmarł **Landeshauptmann** Woschek i **Vicepräsident Grabowski**. Spośród pisarzy znajdujemy takie nazwiska: Barbara Chlauschka, Lena Marianczyk, a w rejestrze **Heimatkreisvertrauensmänner der Landmannschaft Schlesien** są Franz Schopa, Helmut Kostora, Alois Beldzik i — nomen omen — Niesmak tudzież Kratochwil.

Dobrze przecież przypomnieć tym rewizjonistom, że każdym polskim nazwiskiem dezawuują własną „prawdę historyczną", w imię której występują: że każdym nazwiskiem polskim potwierdzają polskie prawa do ziem, które nam chcą odebrać. Dla umysłów nieuprzedzonych, akcja **Schlesische Rundschau** jest szczególnym potwierdzeniem polskości Śląska. Ale w zacietrzewieniu szowinistycznym tego się nie widzi.

Edward M. Serwański

Savonarola w literaturze powszechnej

(Dokończenie ze str. 8)

W wieku XX studia historyczne nad Savonarolą wzbogaciły się całym szeregiem prac, wśród których na pierwszy plan wybija się monografia prof. Józefa Schnitzera p.t.: „Savonarola, ein Kulturbild aus der Zeit der Renaissanse" (1924 — 2 tomy). Jest to głębokie i wszechstronne studium dające pełny obraz poglądów i działalności Savonaroli.

Niezależnie od tego cały szereg utworów literackich przedstawia nam dominikanina florenckiego w różnym naświetleniu, zależnie od poglądów osobistych autora. Podobnie jak w XIX wieku, Savonarola wzbudza zainteresowanie jako reformator religijny i polityczny oraz ze względu na stosunek do Renesansu. W dramacie Heleny von Willemoes Suhm (1902) widzimy niejasną koncepcję bohatera wahającego się między buntem i posłuszeństwem wobec Kościoła. Savonarola w rozumieniu autorki jest bohaterem wierzącym w boskie pochodzenie swej misji i poświęcającym się dla przyspieszenia postępu i wolności ludu.

Thomas Mann w noweli: „Fiorenza" (1904) przedstawia nam innego Savonarolę. Jest to jednostka energiczna, ambitna, przeciwnik radości życia, dziwna mieszanina miłości i nienawiści. Ten brak wewnętrznej harmonii sprawia, że życie Savonaroli jest ustawiczną męką, nie zna on zadowolenia, nie wie co to spokój. Tragedia ta potęguje się jeszcze przez fakt, że Savonarola wierzy, iż jest przeznaczony do wielkich rzeczy przez Boga i dlatego nie chce i nie może zatrzymać się na drodze wiodącej do władzy i do śmierci.

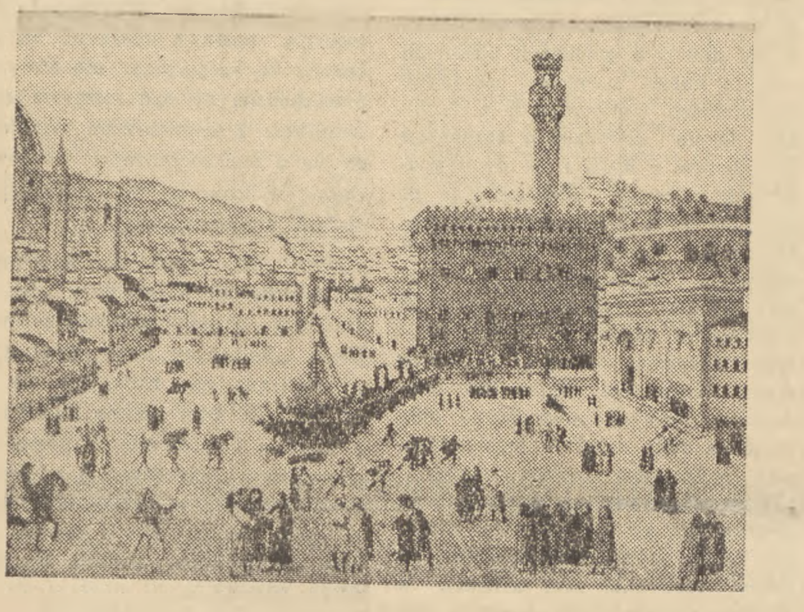
Bardzo krytycznie przedstawia postać Savonaroli Mereżkowski w powieści: „Leonardo da Vinci". Ukazuje on Savonarolę jako fanatyka, znajdującego się pod wpływem wizjonera Maruffiego, przedstawionego niemal jako wariat. Maruffi wypowiada zresztą potępiający sąd o Savonaroli jako o sprawcy wielu nieszczęść spowodowanych jego wygórowanymi ambicjami.

W cyklu dramatycznym Gabriela Trarieux „Les Vaincus" (1906) mamy inną znowu sylwetkę Savonaroli. Punkt ciężkości przeniesiony jest na walkę z Aleksandrem VI, stanowiącym przeszkodę dla reformy Kościoła i ludzkości. Walka ta przeradza się stopniowo w walkę z papiestwem, Savonarola zaczyna w dalszym stadium swej ewolucji rozumieć wartość życia i tę ostatnią wpaja swemu uczniowi, głośnemu malarzowi Sandro Botticelli. Trarieux czyni z Savonaroli nie tylko poprzednika Lutra, ale przekształcając prawdę historyczną, czyni z niego nawróconego w ostatniej chwili wyznawcę radości i piękna życia, pojmowanych w duchu Renesansu.

Inny francuski dramaturg, Armand Salacrou, przedstawia Savonarolę w dramacie zatytułowanym „La terre est ronde". Mamy tu odtworzenie Renesansu i jego atmosfery duchowej a jednocześnie krytykę źle zrozumianego mistycyzmu, pchającego Savonarolę na drogę dyktatury totalitarnej. Aluzje do bieżących wypadków są tu całkiem widoczne.

Mniej więcej w tym samym czasie w Niemczech Ludwig Huna napisał powieść: „Der Monch von San Marco" (1931). Savonarola przedstawiony jest tu jako reformator religijny, który nie zamierza zrywać z Rzymem. Ponadto reprezentuje on światopogląd chrześcijański w walce z pogańskim kierunkiem Renesansu. Autor przenosi punkt ciężkości na płaszczyznę walki światopoglądów. Savonarola w ujęciu Huny jest politykiem, ale politykiem mimowoli. Jak sam mówi: „Chciałem być prorokiem tego państwa (t. z. Florencji), nigdy zaś jego władcą". Savonarola nie wątpi w boskie pochodzenie swej misji, wierzy w swój dar proroczy.

Ciekawe uwagi na temat Savonaroli znajdujemy w książce głośnego angielskiego powieściopisarza G. K. Chestertona: „Varied types" (1921). Staje on również na płaszczyźnie światopoglądowej podobnie jak Huna, z tą różnicą, że w szkicu Chestertona zakonnik florencki urasta do miary tragicznego bohatera walczącego z duchem czasu a mianowicie z duchem użycia, przyjemności, braku odpowiedzialności za swe czyny i bezmyślnego życia z dnia na dzień. Savonarola chciał uczynić człowieka naprawdę wolnym i dlatego upadł, bo rządy domu Medici potrafiły dostatecznie upodlić dumnych niegdyś i niezależnych florentczyków.



Stracenie Savonaroli — obraz nieznanego malarza

Z braku miejsca trzeba pominąć cały szereg prac i utworów literackich z XIX i XX wieku traktujących o Savonaroli. Wspomnieć jednak należy szkic Burckhardta o Savonaroli zamieszczony w książce o kulturze Odrodzenia we Włoszech, jak również dramat Pauli Coudenhove „Renaissance" (1904) oraz powieści Kurta Delbrucka „Lorenzo von Medici und Savonarola" (1920) i „Papst Aleksander VI und Savonarola" (1921). Na wzmiankę zasługują dramaty Isidora Hopfnera S. J.: „Savonarola" (1908) oraz Willy Tharanna „Savonarola" (1926) jak również powieść Heinricha Wildunga „Der Bussprediger" (1931).

Z powyższego pobieżnego przeglądu widać, że postać Savonaroli, od wieku XV począwszy, wzbudzała zainteresowanie literatów i badaczy. Starano się odtworzyć sylwetkę reformatora obyczajów, przywódcy politycznego i proroka wierzącego niezachwianie w konieczność radykalnych zmian w życiu jednostki i zbiorowości. Stwierdzamy ponadto, że w wieku XX zainteresowanie to bynajmniej nie słabnie.

Stopień prawdy historycznej w utworach literackich jest różny, większość autorów po swojemu odczuwa i rozumie Savonarolę. Jednakże mimo to w większości wypadków autorzy kierowani intuicją oraz niewątpliwą znajomością historii potrafili znaleźć prawdziwe oblicze Savonaroli i ustrzegli się tworzenia legendy całkowicie pozbawionej podstaw rzeczywistości. Savonarola żył w czasach kryzysu epoki i dlatego szczególne zainteresowanie budzi w momentach, gdy ludzkość przechodzi przez daleko idące i wszechstronne zmiany warunków bytu.

Kalikst Morawski

»GODZIEN LITOŚCI«

Utwory sceniczne Fredry powstałe w II okresie jego twórczości, po wieloletnim milczeniu sprowokowanym ostrym artykułem Goszczyńskiego, nie dorównują pod względem poziomu artystycznego, świetnym komediom stworzonym przez pisarza do roku 1835. Niemniej dla zaznajomienia współczesnej publiczności z całym dorobkiem komediopisarza, oraz przeobrażeniami, jakim ulegała jego twórczość pod wpływem przemian w rzeczywistości społecznej i kulturalnej epoki, celowym się wydaje wznowienie sztuk słabszych artystycznie, powstałych po roku 1858.

„Godzien litości", nie należy do komedii najlepszych. Fabuła jest w równej mierze sensacyjna, jak mało wybredna, poza pomysłowo skonstruowanym aktem I-szym, który bawi widza sytuacjami, reszta szczerze nudna, z uwagi na dłużyzny w dialogach, i brak żywej akcji. Pozostało jednak jeszcze Fredrze, wiele z cudownej zdolności prawdziwego i wyrazistego rysowania postaci. I tę cechę powinni podchwycić i uwydatnić realizatorzy. Naogół jednak reżyser, i aktorzy Teatru Powszechnego nie bardzo pomogli Fredrze. Przede wszystkim należało zdynamizować akcję w akcie II i III-cim, co można było częściowo osiągnąć przez dokonanie skrótów, oraz przez odpowiednie poprowadzenie scen przygotujących szczytowy moment napięcia dramatycznego.

Fredro, tworząc omawianą komedię, uległ niewątpliwie wpływowi ówczesnej produkcji komediowej, mającej na celu przede wszystkim zadowolenie gustów publiki mieszczańskiej, a więc często grawitującej ku farsie. Z drugiej jednak strony nie zrezygnował pisarz z wyrażenia swoich tendencji moralizatorskich, z pokazania obyczajowości klasy mieszczańskiej, z demaskowania wątpliwego morale niekochanej bynajmniej przez niego warstwy. Farsowość jak wiadomo, tego rodzaju tendencjom sprzyjać nie mogła. Realizatorzy „Godnego litości" na scenie Teatru Powszechnego starali się słusznie, uwydatnić właściwy sens komedii, nie byli jednak zawsze w swoich założeniach konsekwentni. Przykładem rola Elwina (Teodor Gendera), zinterpretowana wybitnie farsowo, szczególnie w scenach z przyszłym teściem. Ponadto miało się wrażenie, że artysta kreujący tę rolę, potraktował ją dość schematycznie, co odbiło się ujemnie na jego grze, stwarzając wrażenie powierzchności i braku przeżycia postaci.



Państwowy Teatr Powszechny w W-wie. „Godzien litości" A. Fredry. Na zdjęciu M. Seroczyńska (Antonia).

fot. C.O.P.A.

Kazimierz Wilamowski jako Warski, stworzył postać dobrą w typie, jednak niezupełnie zdołał pokazać, prawdziwą amoralność postępowania szanownego obywatela miasta Krakowa, spekulującego na posagu swej córki.

Norbert Nader jako właściwy bohater komedii, niefortunny adwokat Dormund, słusznie zinterpretował swoją rolę. Ukazując cechy pozytywne odtwarzanej postaci i śmieszność sytuacji, nie zawsze jednak dość wyraźnie podkreślił jak dalece perypetie Dormunda są wynikiem jego osobistych słabostek, a w jakim stopniu ulega on zwyczajom środowiska.

Barbara Stępniakówna (jako Laura Łęcka) dobrze zaznaczyła spryt i dyplomatyczne umiejętności, „ciepłej" wdowy znającej wszelkie tajniki mieszczańskiego świata i równie dobrze pokazał sprzeczności tkwiące w odtwarzanej postaci. Słabiej wypadła natomiast scena, gdy prawdziwe uczucie przychodzi u romansowej wdówki do głosu.

Najciekawszą postać stworzyła Maria Seroczyńska, , jako Antonia. Co prawda zawodziła chwilami aktorkę dykcja, za to „odczytanie" i odtworzenie roli było w pełni konsekwentne. Stwarzało to wrażenie, nie tylko przemyślenia roli, lecz również i artystycznego jej przeżycia. Trafnie oddała artystka sceny, w których uczucie Antonii do Elwina zanika pozornie zarówno pod grubą warstwą patosu niedojrzałej gąski, jak i dąsów niedawnej pensjonarki.



Państwowy Teatr Powszechny w W-wie. „Godzien litości" A. Fredry. Scena z I aktu. Od lewej: M. Seroczyńska (Antonia) N. Nader (Dormund) K. Wilamowski (Warski)

fot. C.O.P.A

Mimo, iż wystawienie „Godnego litości" nie jest szczytowym osiągnięciem „Teatru Powszechnego" należy się jednak uznanie kierownictwu tego teatru, za wprowadzenie po raz pierwszy na sceny warszawskie jednego z zapomnianych utworów Fredry.

(Szcz)

Z LISTÓW DO REDAKCJI

„Lalka" i gusty drobnomieszczańskie

Z czarującą nonszalancją pociągnął Adam Mauersberger w nr 1 „Przeglądu Kulturalnego" znak równości między gustami drobnomieszczańskiej publiczki i estetyką reprezentowaną przez „Dziś i Jutro". Mauersbergerowi nie podoba się, że niżej podpisany ocenia — na tle całości zadaptowanej na scenę „Lalki" Prusa — w zasadzie pozytywnie rolę obrazu ze studentami. Wyrywa z całości recenzji (Dz. i J. nr 31 (349) odpowiedni fragment, domyślnie przypisując mi wbrew wyraźnemu kontekstowi zachwyt nad farsowością tej sceny, może zgoła nad trywialnościami dialogu. Ponieważ obraz ten, całkiem pobieżnie przeze mnie potraktowany, jest nadal przedmiotem dyskusji, wyjaśniam:

Wbrew zastrzeżeniom części krytyki, wbrew nieco wątłemu związkowi tego obrazu z głównym nurtem akcji, opowiadałem się mimo to za jego utrzymaniem ze względu na 1) typowość ukazanej tu przez Prusa atmosfery życia ówczesnej ubogiej studenterii 2) społecznie ostry, demaskatorski charakter dialogu 3) fakt, że obraz ukazuje nić sympatii, łączącej Rzeckiego, starego demokratę, choć plenipotenta kapitalisty, z lewicowcami młodego pokolenia 4) humor, zawarty w tym obrazie, wnoszący pewien moment odprężenia w poważną na ogół adaptację. Zgadzam się, choć nie dałem temu wyrazu w przelotnej wypowiedzi recenzenckiej, że ani w adaptacji, ani w opracowaniu reżyserskim i aktorskim nie zdołano uzyskać w tej scenie dość szczęśliwego stopu powagi problemu społecznego z momentem prawdziwie „prusowskiego" humoru, tak aby był to opromieniony sentymentem, wisielczy humor krytyczny, humor mansard epoki kapitalizmu. Nie mniej, na tle zbyt statycznego i zbyt cierpiętniczego ujęcia roli Wokulskiego (będącego główną osią mej oceny wykonania), scena ze studentami spełniła, jak nadal sądzę, w zasadzie swe konstrukcyjne zadanie w spektaklu. I taka była intencja mej wypowiedzi, którą zbyt domyślny krytyk „Przeglądu Kulturalnego" przedłużył, niestety nie w kierunku przeze mnie pomyślanym.

Mógłbym pochopnie zarzucać Mauersbergerowi chęć tępienia humoru, tolerowania wyłącznie ponurej pryncypialności itd. Zamiast tego ograniczę się w związku z jego interesującym punktem widzenia w dyskusji nad „Lalką" do następującego zapytania: W jaki sposób wyobraża sobie mój Szanowny Polemista — walcząc o inną koncepcję adaptacyjną, opartą na pamiętniku Rzeckiego, a nie na wątku miłosnym — choćby w najogólniejszych zarysach — realizację takiej koncepcji, oczywiście w warunkach sceny teatralnej, nie filmu. Ucieszę się szczerze, jeśli wbrew wątpliwościom np. Kruczkowskiego i Słonimskiego zdoła przekonać o możliwości takiej maksymalistycznej z punktu widzenia społecznego adaptacji „Lalki". Ucieszę się nawet będąc tak do szpiku kości przeżarty drobnomieszczańskimi gustami.

Andrzej Odnowa

Wydawca: Stowarzyszenie PAX, redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartalnie 5,40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71 880 26.

Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3. Zam. 2578. 3-B-24195.